



ZASŁUŻONY
DLA
KULTURY
POLSKIEJ

wiadomości kościańskie

ISSN 1231-9589

pismo regionalne • cena 7 zł • nr 1-4 (281-284) • styczeń-kwiecień 2016

*Wiernym Czytelniczkom i Czytelnikom
„Wiadomości Kościańskich”
zdrowych i spokojnych
Świąt Wielkanocnych
życzy Redakcja*



Jenerał Dezydery Chłapowski z Turwi (1788 † 1879).
Dzieło nieznanego autora*

W numerze:

■ **Nałęczowskimi ścieżkami Bolesława Prusa**
spaceruje Katarzyna Żurek
()

Wiersze:

Tadeusza Hofmańskiego
()
Eugeniusza Wachowiaka
()

■ **Strajk szkolny 1906/1907 w Kościanie**
przypomina Jan Pawicki
()

■ **Niepublikowane zapiski Mariana Koszewskiego**
()

■ **Harcerz Szarych Szeregów Zbigniew Podeszwa**
w reportażu
Teresy Masłowskiej
()

■ **Dziennik rawickiego policjanta**
przedstawia Jerzy Zielonka
()

■ **Okoliczności śmierci Zbigniewa Cybulskiego**
ujawnia Teresa Masłowska
()

„Wiadomości Kościańskie”. Pismo regionalne, ukazuje się od czerwca 1988 roku. Laureat głównej nagrody IV Konkursu Institute for Democracy in Eastern Europe. Wydawca: Przedsiębiorstwo „AGA” w Kościanie. Redaguje zespół: Teresa Masłowska (redaktor prowadzący), Jerzy Wizerkaniuk (red. naczelny), Jolanta Napierała (z-ca red. naczelnego), Grzegorz Pawlak (grafik).

Adres redakcji: 64-000 Kościan, ul. Dworcowa 2, tel./fax (0-65) 512-16-15. Druk: Drukarnia Zbigniew Sołtysiak, ul. Surzyńskiego, Kościan. Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania nadsyłanej korespondencji, nie zwraca materiałów nie zamówionych i nie odpowiada za treść ogłoszeń.

Na okładce: Jenerał Dezydery Chłapowski z Turwi (* 1788 † 1879). W tym numerze „WK” rozpoczynamy druk fragmentów mało znanego wspomnienia o generale, zamieszczonego na łamach poznańskiego pisma „Gwiazda” w numerze 51 z 19 XII 1880. Pierwopis ukazał się w „Przeglądzie Lwowskim” (rocznik 9, poszyt 9) z 1 maja 1879 r., to jest dwa miesiące po śmierci generała. Jego autorem jest prawdopodobnie biograf i przyjaciel Chłapowskiego, zmartwychwstaniec ksiądz Walerian Kalinka. Czytaj na stronach (14-17)

**Stefan Żurek nie żyje**

Fot. Bogdan Ludowicz

Zmarł 30 stycznia br. w wieku 77 lat. Odszedł od nas człowiek, który wpisał się na trwałe w historię miasta Kościana i regionu. Urodził się w Przysiece Starej w patriotycznej polskiej rodzinie. Ojciec był Powstańcem Wielkopolskim. Stefan wyniósł z domu umiłowanie Ojczyzny, głęboką religijność i szacunek do pracy. Swoje dorosłe życie związał z Kościanem. Przez 36 lat pracował w tutejszym zakładzie Swarzędzkiej Fabryce Mebli jako mistrz stolarski. Tam też w 1980 roku organizował „Solidarność” i w krótkim czasie stał się jednym z czołowych liderów tego związku zawodowego w regionie kościańskim. Był przewodniczącym Komisji Koordynacyjno – Porozumiewawczej „S” Ziemi Kościańskiej, delegatem na I Krajowy Zjazd Delegatów „S” w 1981 roku.

Po ogłoszeniu stanu wojennego związał się na stałe z ruchem katolickim. Wraz z Barbarą i Kazimierzem Mizerka-

mi założył w 1983 roku w Kościanie Klub Inteligencji Katolickiej. Doksztalał się najpierw na spotkaniach w Klasztorze Benedyktynów w Lubiniu, później (w 1988 roku) ukończył 2-letnie Studium Społecznej Katechezy Pracujących Zgromadzenia Chrystusowców. Oparcia dla swej działalności szukał we wspólnotach katolickich. Był m.in. członkiem poznańskiego KIK-u.

Jego wkład w rozwój struktur „Solidarności” na Ziemi Kościańskiej jest niezaprzeczalny. Jednocześnie działał w organizacjach społecznych. Był m.in. z dr. med. Andrzejem Szymanowskim współzałożycielem Społecznego Komitetu Rozbudowy Kościańskiego Szpitalnictwa, wspierał wydatnie działania służby zdrowia na rzecz poprawy warunków leczenia chorych, przyczynił się do zbudowania nowego szpitala i urządzenia apteki; z dr. Tadeuszem Łukaszykiem zabiegał o utworzenie kaplicy szpitalnej itd.

Interesował się dziejami regionu. Uczynił wiele dobra dla kościańskiego muzeum. Współpracował i przyjaźnił się z dyrektorem tej placówki dr. Piotrem Bauerem; niejednokrotnie sam podejmował inicjatywy kulturalno – historyczne, szczególnym kultem zaś darzył powstańców wielkopolskich.

Po 1989 roku stał się czołową postacią życia publicznego Kościana. Był radnym, a w latach 1994 – 1998 przewodniczącym Rady Miejskiej. Obecny przewodniczący rady – Piotr Ruszkiewicz wspomina:

- Pan Stefan miał wielki autorytet w radzie i w lokalnej społeczności. Wyculony na codzienne ludzkie sprawy i na problemy miasta, życzliwy, ciepły w kontaktach, każdego wysłuchał, doradził i pomógł. Można było na niego liczyć. Sam niejednokrotnie korzystałem z jego rad i pomocy...

Wielką zaletą Stefana Żurka była umiejętność słuchania bliźnich. Jego autorytetem i mentorem był znany nie tylko w Kościanie dr med. Henryk Florkowski. Nie krył się z tym.

- Przyszło mi działać w trudnych warunkach – wspominał kiedyś. – Musiałem mieć kogoś kto mi doradził, wsparł. Taką osobą był doktor Florkowski, do którego chodziłem systematycznie i od którego wiele się nauczyłem.

*

Nie da się krótko ocenić działalności i dorobku śp. Stefana. Uczynią to zapewne z czasem historycy regionu. Jedno jest pewne, że odszedł od nas człowiek wartościowy, bardzo wyrozumiały i tolerancyjny, który wywarł duży wpływ na bieg wydarzeń w Kościanie na przełomie XX i XXI wieku. Godny szczególnego podkreślenia jest fakt, że Stefan Żurek był osobą prorodzinną. Zawsze akcentował szacunek dla rodziny, żony, dzieci, wnuków i krewnych.

Lubili go dziennikarze kościańscy i on ich lubił także. Jego m.in. postawie zawdzięczają swoje trwanie „Wiadomości Kościańskie”. Zawsze znalazł czas dla mediów. Będzie Go nam teraz brakowało. Panie Stefanie, tam na wiecznej związkowej warcie nie ma już trosk i zmartwień, nie ma złych i zawistnych ludzi, nie ma cierpienia. Niech Ci ta nasza ziemia kościańska będzie lekka.

JERZY ZIELONKA

Misja wolność



Thumy w Ratuszu czekające na zapisanie do gry

Fot. Teresa Maślowska

Burzenie pomnika cesarza Wilhelma, pokonanie pola minowego, wydostanie się z zamkniętego pomieszczenia, strzelanie z wiatrówki i armaty, powożenie bryczką, rozpoznanie jakimi zabawkami można się było bawić przed stu laty, to tylko część z kilkunastu misji, jakie do wykonania mieli uczestnicy piątej gry miejskiej „Kryptonim Wolność”. W tegorocznej zabawie uczestniczyła rekordowa liczba 51 drużyn

Bawić się historią mogli nie tylko gracze wykonujący misje, których w tym roku było aż 17. Na jeden dzień centrum Kościana zmieniło się nie do poznania. Na ulicach pojawiły się pruskie patrole, budki strażnicze i zasieki. Na elewacjach kamieniczek na Rynku zawisły niemieckojęzyczne nazwy sklepów i szyldy reklamowe rodzinnych firm z czasów powstania

wielkopolskiego. Przed budynkiem liceum stanął pomnik cesarza Wilhelma. Dorożka ze Stadniny Koni w Racocie przewoziła chętnych wzdłuż Wałów Żegockiego. W Kiełczewie można było obejrzeć drezynę i salonkę z początku XIX wieku, przygotowane przez Grodzką Kolej Drezynową.

W tegorocznej grze brało udział ponad 400 osób z całego powiatu kościańskiego, a nawet Poznania i Mosiny. Uruchomiono więc dwa punkty rejestracji: w Urzędzie Miasta Kościana i w Ratuszu. Stamtąd drużyny ruszały w miasto, by zaliczać poszczególne misje. Organizatorzy zadbali, by zadania się nie powtarzały. Jedną z misji prowadziła od biblioteki, w której należało odszukać książkę Krystyny Winowicz o ks. Józefie Surzyńskim z nutami i tekstem „Roty”, do fary, w której czekał ks. Surzyński (w tej roli Maciej Szymczak, komen-



Jeden z patroli na ul. Wrocławskiej

Fot. Teresa Maślowska

dant Straży Miejskiej). Oprócz przekazania najważniejszych informacji o swoim życiu proboszcz uczył grupy śpiewać. Akompaniował im organista Jakub Zielonka, który opowiadał też o budowie organów. Przydało się to w finale misji, gdzie donośnie odśpiewana pieśń obalała pomnik cesarza Wilhelma stojący przed „ogólniakiem”. Kilka zadań czekało w parku miejskim, gdzie trzeba było sprawdzić celność w mierzeniu z armaty, pokonać tor szermierczy, przepłynąć łódką Obrę i z zawiązanymi oczami pokonać pole minowe, czy zaliczyć musztrę. Najdalszym punktem był żelazny most w Kiełczewie, gdzie trzeba było jak najszybciej przewieźć dreżyną skrzynki z amunicją. Po raz pierwszy organizatorzy punktowali misję grochówką, która we wcześniejszych edycjach była często omijana. W Wojewódzkim Szpitalu Neuropsychiatrycznym

urządzono dwa escaperoomy, czyli pokoje zagadek, z których trzeba się było uwolnić rozwiązując różne zadania. Drużyny miały też do wykonania misje poboczne, jak zajrzenie do piwnic Ratusza i wieży.

- Za nami sześć misji. Najfajniejszą była bana, czyli przejazd dreżyną, gdzie zdobyliśmy komplet punktów. Zmieściliśmy się w dwie minuty. Czterech z nas bierze drugi raz udział w grze, a kolega pierwszy raz. Jest fajna zabawa - ocenił Nikodem Nowak, kapitan drużyny z Zespołu Szkół nr 3 w Kościanie, spotkany w KOK-u, gdzie należało rozpoznać postaci historyczne nie związane z powstaniem wielkopolskim i rozpoznać na zdjęciach osoby lub organizacje wspierające grę miejską.

- To nasza pierwsza gra i dziewiąta misja. Najtrudniejsza była łódka, czyli przepłynięcie slalomem Obrę tak, by

ominąć miny, a dodatkową trudnością były zawiązane oczy - dzieliła się wrażeniami Kinga Roszkowiak, dowódca drużyny Patrioci z Dwójki, spotkana w kościele farnym. Jak zdradziła, do udziału w grze skłonił ich projekt, jaki robili na lekcjach historii. Zainteresowani tematem postanowili się zgłosić. Na trasę ruszyli o godz. 9, jako druga drużyna. - Mam nadzieję, że uda mi się powtórzyć wygraną z tą nową grupą. Jest bardzo dużo nowych zadań, a na ulicach jest mniej patroli pruskich, ale trzeba uważać i pamiętać o zachowaniu zasad konspiracji. Już nadrobiliśmy kilka kilometrów, bo myśleliśmy, że bryczka to patrol - dodała Iga Pokładecka, dla której tegoroczna gra była już trzecią z rzędu.

- Jesteśmy w trakcie trzeciej misji. Za nami już jazda bryczką, misja kwaciarnia i lazaret - wyliczał Bartosz Matuszewski z drużyny debiutantów



Ks. Surzyński z organistą uczą „Roty”

Fot. Teresa Masłowska

zwanej Czterema Pancernymi, przyznając, że najtrudniejsze było powożenie. - Trzeba się nachodzić i uważać na patrole, ale na razie nikt nas nie gonił.

- Pływanie łódką było chyba najciekawsze. W jedną stronę trzeba było omijać boje, czyli miny, a w drugą wiosłować z zawiązanymi oczami. Atrakcyjna była też misja bana, czyli dreżyna, którą trzeba było jak najszybciej przejechać i zebrać trzy ciężkie skrzynki oraz powożenie - zdradził Adam Matysiak, dowódca drużyny 51, wyjaśniając, że nazwę wzięli od liczby dni powstania. W bibliotece realizowali 10 już misję. - Monika i ja bierzemy udział po raz

pierwszy, a Marta i Gosia trzeci. Misje są bardzo rozbudowane i zaskakujące. Idzie nam bardzo dobrze, choć nie przygotowaliśmy się, bo traktujemy to jak dobrą zabawę.

- Grupa powstała spontanicznie. Jesteśmy uczniami „Ratajczaka” i „Kolberga”. To nasza trzecia gra. Wpadliśmy na pomysł, by założyć mundury i dobrze się prezentować, choć przed rokiem było więcej przebranych drużyn. Świetnie się bawimy - zapewnił Łukasz Lucerek, dowódca Pierwszej Brygady Powstańczej. - Jesteśmy po ośmiu misjach. Postaramy się zaliczyć jak najwięcej. Tylko w dwóch zadaniach straciliśmy punkty, w tym za przypad-

kowe uszkodzenie atrapy karabinu. Wymagająca i ciekawa była misja bana. W tym roku przydaje się dobra komunikacja, spryt, umiejętność rozpoznawania historycznych postaci i doświadczenie z lat poprzednich.

- Jest super! Pływaliśmy już łódką po Obrze. Martyna wiosłowała i poszło jej bardzo dobrze, więc zdobyliśmy maksymalną liczbę punktów. Przeszliśmy musztrę u wojskowych. Byli mili i przymykali oko na błędy. Zostaliśmy zaarrestowani przez patrol na deptaku za sfałszowane dokumenty, ale szybko nas wypuścili - relacjonowała Natalia Kasperska, kapitan zespołu Młodzi Gniewni z Racotu.

- Zabawa jest bardzo fajna i wszystko jest świetnie zorganizowane. Do udziału namówiła nas wychowawczyni. Myśleliśmy, że będzie nudno, zimno i będzie przewodnik, a tu pozytywne zaskoczenie - dodała Antonina Opas, dowódca Patriotów z Racotu, debiutujących w grze miejskiej. - Mamy za sobą osiem misji. Odjęto nam punkty za maszerowanie, słabe strzelanie i przejechanie jednego kółka więcej bryczką. Najbardziej podobało nam się pływanie łódką. Było przy tym dużo śmiechu.

Po raz pierwszy wręczono odznaki zwycięzcom poszczególnych misji. Drużyny, które wykazały się wybitnymi umiejętnościami w poszczególnych misjach otrzymały odznaki: strzelca, kolejarza, zawiadowcy, muzyka, obrońcy pamięci. Jubileuszową edycję gry wygrała Drużyna Karabinu AK 47, przed Orłami Wielkopolskimi i Grzmotem. Dla zwycięzców były nagrody, a dla wszystkich trefle. W Kościańskim Ośrodku Kultury dzieci składały i malowały konie na kółkach. Chętnych nie brakowało, a zabawa w malowanie drewnianych koni podobała się nawet dorosłym. Drewniane koniki, w dwóch wzorach, zostały wycięte przez stolarnię Przemysława Pryfera z Kiełczewa. Dzieci własnoręcznie składały, kleiły i malowały drewniane elementy, by gotowe móc zabrać ze sobą do domu.

KARINA JANKOWSKA
(Gazeta Kościańska)



Wielka Wojna w muzeum

Wystawa czynna będzie do 3 kwietnia br. Fot. Teresa Mastowska

Archiwalne dokumenty z epoki, mundury, pociski, szable, pistolety, manierki, odznaki bojowe, popielniczki zrobione z granatów, ozdobne skrzynki i pierścienie to tylko część eksponatów jakie można oglądać na najnowszej wystawie w Muzeum Regionalnym im. dra Henryka Florkowskiego w Kościanie.

Ekspozycja zatytułowana „100-lecie Wielkiej Wojny” poświęcona jest I wojnie światowej. Czwartkowe otwarcie przyciągnęło sporą grupę zainteresowanych tą tematyką.

- Witam państwa na pierwszej w tym roku wystawie. W I wojnie światowej uczestniczyło blisko cztery miliony Polaków, milion dwieście tysięcy żołnierzy w armii carskiej, milion czterysta tysięcy w armii cesarstwa habsburskiego, od siedmiuset pięćdziesięciu do ośmiuset pięćdziesięciu w armii pruskiej. Straty jakie ponieśli Polacy też nie były małe, bo blisko czterysta tysięcy osób poniosło śmierć w tej wojnie, a prawie milion zostało rannych - wyliczył Dariusz Kram,

dyrektor kościańskiego muzeum, witając gości, a wśród nich m.in. postać Wojciecha Ziemiaka, burmistrza Kościana Michała Jurę, wójta gminy Kościan Andrzeja Przybyłę, Elżbietę Olender - dyrektor Archiwum Państwowego w Lesznie, Janusza Skrzypczaka z Galerii 1001 Drobiazgów z Leszna.

Na blisko 40 planszach można prześledzić najważniejsze wydarzenia związane z I wojną światową z perspektywy południowo-zachodniej Wielkopolski. Na wystawie zgromadzono ponad sto oryginalnych eksponatów, w tym dokumenty archiwalne (wezwania do mobilizacji, akty zgonu), plakaty propagandowe, odezwy do ludności, zdjęcia garnizonu w Lesznie, pocztówki, hełmy, czapki, pocisk karabinowe i artyleryjskie, lance kawaleryjskie, szable, pistolety, manierki, odznaki bojowe, a także wykonane przez żołnierzy popielniczki po granatach, noże, skrzynki ozdobne i pierścienie. Ciekawostką jest fotokarabin lotniczy, który służył do treningu i rejestracji skuteczności ostrzału. Jest mnóstwo obiektów,

które są tzw. sztuką okopową, np. noże zrobione z odłamków, sztylety, przycienarka do cygar zrobiona z pocisku, wyposażenie osobiste żołnierzy. Z bliska można przyjrzeć się mundurom wraz z oporządzeniem bojowym żołnierzy wojsk państw centralnych i Ententy, w tym rosyjskich, niemieckich, brytyjskich, francuskich, amerykańskich i tureckich. Wszystkie eksponaty pochodzą z kolekcji: Jerzego Bogdanowicza z Leszna, depozytu Marka Kędzierskiego z Archiwum Państwowego w Lesznie, Janusza Skrzypczaka z Leszna, Adama Urbaniaka z Poznania, firmy Hero Collection z Poznania, Archiwum Państwowego w Lesznie, Muzeum Okręgowego w Lesznie, Muzeum Ziemi Wschowskiej i Muzeum Regionalnego w Kościanie.

Dr Eugeniusz Śliwiński z Muzeum Okręgowego w Lesznie wygłosił krótką prelekcję, przypominając historię I wojny światowej. Wystawę można oglądać do 3 kwietnia.

KARINA JANKOWSKA
(Gazeta Kościańska)

Pamięci Żołnierzy Wyklętych



Tablica przy Placu Niezłomnych w Kościanie

1 marca br. w Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych samorządowcy, kombataneci i harcerze złożyli wiązanki kwiatów i zapalili znicze pod tablicą upamiętniającą Żołnierzy Wyklętych na Placu Niezłomnych w Kościanie.

W niedzielę 28 lutego odbył się ogólnopolski Bieg Tropem Wilczym - Pamięci Żołnierzy Wyklętych. W Kościanie imprezę zorganizowano w Parku Miejskim im. Kajetana Morawskiego. Dystans pierwszej konkurencji wyniósł nieprzypadkowo 1963 metrów, ponieważ to właśnie w 1963 r. bezpieka zabiła ostatniego żołnierza podziemia – Józefa Franczaka, ps. „Lalek”. Dystans kolejnego biegu liczył 6 km. W tej kategorii pierwsi

metę wspólnie przekroczyli: Krzysztof Szymanowski i Nikodem Dworcak, ustalili oni, że biegną nie po zwycięstwo, ale by uczcić pamięć żołnierzy. Trzeci był Damian Kaźmierczak. Z kobiet najszybsze były: Adrianna Dworcak, Kinga Zielińska i Bernadeta Nawrocka.

Bieg Tropem Wilczym w hołdzie Żołnierzom Wyklętym jest organizowany na terenie II Rzeczypospolitej od czterech lat przez Fundację Wolność i Demokracja. Pomysł Macieja Kąkollewskiego ze Starego Lubosza, aby Kościan przyłączył się do imprezy, spotkał się z pozytywną reakcją władz miasta i uczestników, których do biegu stanęło 130. Urząd Miejski w Kościanie i Ludowy Klub Sportowy Sana

Kościan byli organizatorami imprezy.

Przy tej okazji przypominano trzech żołnierzy Armii Krajowej. Prawnika Leona Ciszaka, ps. „Cyryl”, prawnika, uczestnika kampanii wrześniowej 1939 r., komendanta Inspektoratu Obwodowego Związku Walki Zbrojnej, następnie Armii Krajowej, więźnia gestapo i niemieckich obozów koncentracyjnych. Jego imię nosi jedna z ulic miasta. Klemensa Kruszewskiego, nauczyciela kościańskiego gimnazjum, członka sztabu w Inspektoracie Obwodowym ZWZ/AK w Kościanie. Jana Witkowskiego, ekonomistę, dyrektora kościańskiej cukrowni, zastępcę komendanta Inspektoratu Obwodowego Armii Krajowej w Kościanie. (red)



Władze miasta składają kwiaty oddając hołd Żołnierzom Wyklętym



Migawka z biegu Tropem Wilczym

Fot. (3x) Waldemar Zielonka

List z Chicago



W rejsie z prezydentem Bronisławem Komorowskim

Każdy człowiek ma prawo do prywatności, również prezydent. Miałem okazję spotkać się panem Prezydentem Bronisławem Komorowskim na prywatnym gruncie, a właściwie bez gruntu, bo na wodzie, z dala od polityki. Pływaliśmy „na żaglach” po jeziorze Michigan jachtem mojego brata Grzegorza i poznałem prezydenta jakby z innej strony. Okazał się ciepłym i wrażliwym człowiekiem. Na dodatek w trakcie rozmowy dowiedziałem się, że

Pan Prezydent wybiera się do mojego ulubionego Kościana na uroczystość wręczenia nagród przyznawanych cyklicznie przez „Wiadomości Kościańskie” zasłużonym osobom „Za Nieprzeciętność”. Był bardzo zaskoczony, kiedy mu powiedziałem, że w mojej osobie dziwnym zbiegiem okoliczności ma przed sobą autora statuetek „Za Nieprzeciętność”. Bardzo ciepło wyrażał się o Kościanie i swoich związkach z miastem. W trakcie krótkiego

rejsu prezydent obejrzał Chicago od strony wody, a widoki są przepiękne zarówno w dzień, jak i w nocy. Po rejsie udaliśmy się do prestiżowego „Chicago Yacht Club” na kolację - miła atmosfera nas nie opuszczała. Pożegnaliśmy się dość późno. Następnego dnia rano Pan Prezydent był już umówiony w innym miejscu.

Artysta rzeźbiarz
Michał Gołąbek
Chicago



Chicago od strony wody

Pomnik Muśnickiego



Akt poświęcenia pomnika

29 grudnia 2015 r. ksiądz arcybiskup Stanisław Gądecki - Metropolita Poznański poświęcił - w Lusowie gm. Tarnowo Podgórne - pierwszy w Polsce pomnik upamiętniający generała Józefa Dowbor-Muśnickiego. Generał był dowódcą Powstania Wielkopolskiego, którego dowództwo przejął od mjr. Stanisława Taczaka w dniu 16 stycznia 1919 r.

W uroczystościach odsłonięcia pomnika udział wzięli m.in. Marek Woźniak - marszałek województwa

wielkopolskiego, Zbigniew Hoffmann - wojewoda wielkopolski, Andrzej Kunert - sekretarz Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa oraz gen. broni Mirosław Różański - Dowódca Generalny Rodzajów Sił Zbrojnych. Ceremonię poprzedziła Msza św. w miejscowym Kościele p.w. św. Jadwigi i św. Jakuba Apostoła, której przewodniczył ks. abp Stanisław Gądecki.

Pomnik przedstawiający postać generała Dowbor-Muśnickiego w mundurze wojskowym zaprojektował i wyrzeź-

bił model w gipsie artysta plastyk Robert Sobociński. Odlew postaci w brązie wykonano w odlewni w Szymanowie koło Śremu. Natomiast cokół z granitu jasnoszarego oraz montaż całego pomnika wykonała Firma Kamieniarska „GRANIT - MAR” Mirosława Gryśia z Kościana. Ceremonię uświetniła Kompania Honorowa 17 Wielkopolskiej Brygady Zmechanizowanej im. gen. broni Józefa Dowbora-Muśnickiego z Międzyrzecza.

JERZY SZYGUŁA



Prof. Robert Sobociński i Mirosław Gryś (pierwszy z lewej) przed pomnikiem.

Fot. (2x) Jerzy Szyguta

Jenerał Dezydery Chłapowski (1)

Półtora roku już temu, gdy zgasł wśród nas w Księstwie jeden z najbliższych i najzaczyniejszych naszych obywateli, bohater z wojen napoleońskich i powstania, którego pięćdziesięcioletnią rocznicę przed niewielu dniami obchodziliśmy. Postać ta, jako wzór prawości i miłości Ojczyzny, poświęcenia się i cichej pracy, w niezatartej powinnna pozostać pamięci naszej, abyśmy wciąż się uczyli, że nie na hałaśliwych demonstracjach i szumnym deklamacjach polega prawdziwa miłość Ojczyzny, ale na wytrwałej pracy i na ustawicznej gotowości do poświęcenia. Żywot tego męża podajemy za „Przełęczem Lwowskim”. (Rocz. IX. Poszyt 9.)

Jenerał Chłapowski urodził się w Turwi, na dniu 22 maja 1788 roku. Taką przynajmniej datę podają nekrologi, chociaż przypuścić się godzi, iż o kilka lat rychlej na świat przyszedł, zważywszy mianowicie, iż już w roku 1802, po odbytych naukach u księży Pijarów w Rydzynie młodzieniec wstępuje do pułku dragonów, załogującego w Kościanie. Ojciec jego, starosta Kościański, i matka jego, Urszula z Moszczeńskich, wojewodzianka Inowrocławska, folgując snąc rycerskiemu syna powołaniu, zezwoliły rychło na przeniesienie go do Berlina, gdzie przy akademii artylerii dalej w wojskowym ćwiczył się rzemieślniczo. Nie wątpić nam, że domowe wychowanie opancerzyło serce młodzieńca przeciw wszelkim szkodli-

Z DZIEJÓW
WIELKOPOLSKI

Dezydery
Chłapowski
1788-1879



Okładka książki dra Piotra Bauera, Krajowa Agencja Wydawnicza, Poznań 1983. Projekt Zbigniew Kaja

wym wrażeniom i wpływom na wzór Mojżesza, tak dobrze ubalsamowanego przez matkę, iż chociaż na dworze Faraonowym kończył wychowanie, stał się godnym powołania na przywódcę ludu Bożego. Balsamem tym, którym po dziś dzień matki chrześcijańskie synów swych namaszcza, to tradycja polsko-katolicka, to wiara w Boga, miłość Ojczyzny, a z tym skarbem w duszy bezpiecznie ich puścić można na życia fale, nie zmylą drogi ani zatoną nawet wśród obcych żywiołów. Wszakże w tej samej atmosferze wyrastali natenczas książęta Radziwiłłowie Wilhelm i Bogusław, z którymi śp. Jenerał Chłapowski do końca

najtkliwszy zachował stosunek przyjaźni, a i oni chociaż na sroższe wystawieni pokusy i szkodliwsze wpływy, z powodu bliskiego z pruskim dworem powinowactwa, mieli nieskazitelną dochować wierności ojców wierze i narodowej godności.

Niedługo jednak miał Chłapowski pozostać w Berlinie; młodzieńca rychło olśniły budzące się zwycięstwami polskie nadzieje. Uprzedzając bliską wojnę z Francją, już w r. 1805 wystąpił z pruskich szeregów. A gdy po Jenie cesarz Napoleon przybył do Poznania, był dragon i uczeń artylerii wstąpił od razu do gwardii honorowej, którą obywatelstwo wielkopolskie otoczyło zwyciężkiego bohatera. Śliczna postać młodego gwardzisty zwróciła nań uwagę cesarza; zachowane z owej epoki portrety przedstawiają nam dziecinne niemal oblicze, o wyrazistych niebieskich oczach, jasnych włosach i rysach

kształtnych, w których dziwna maluje się łagodność. Dopiero późniejsze życie do tej niezatartej łagodności i słodczy zawsze ujmującego uśmiechu dodać miało pewną marsową surowość i smętną powagę, sprzeczne te wyrazy w harmonijną, a pociągającą zlewając całość. Niebawem bystrooki samowładzca odgadł, iż ta dziecinna powierzchowność osłaniała dojrzałego męża przymioty, hart i odwagę obok rozwagi i spokoju. Legenda Napoleońska objęła i naszego młodziana w swych drastycznych opowieściach. Słyszeliśmy nieraz, iż, gdy otoczony gwardią honorową, cesarz pewnego dnia rozpoznawał pozycje wojenne

naokoło Poznania, a stanąwszy nad rzeką Cybiną, objawił życzenie, aby kto przeciwny brzeg jej zbadał, Chłapowski od razu spał konia i rzucił się w wodę, niebawem odnosząc cesarzowi rezultat poczynionych na przeciwnej stronie uwag. Odtąd Napoleon upodobał sobie żwawego młodziana i przybrał do boku swego, nieraz z nim rozmawiając poufnie, i bez względu na wiek zasięgając wiadomości o przeszłych dziejach Polski i jej ówczesnym położeniu. Nie dziw, że Chłapowski z tych rozmów czerpał coraz żywsze nadzieje dla ojczyzny, a i sam cesarz coraz też gorętszą jął mu okazywać przychylność. Owa przychylność nigdy się nie zmniejszyła i słusznie twierdzić można, że go Napoleon zawsze miał na oku. Ztąd też życie Chłapowskiego zlewa się odtąd z homeryczną epopeją walk i zwycięstw pierwszego cesarstwa, i kreśląc pośmiertne wspomnienie zaledwie kilku datami i stanem służby rosnącego w znaczeniu młodego wojownika, streścić można przebieg owych lat i wypadków dziejowych, należących do zakresu historyka stokroć więcej aniżeli biografa. Mianowany oficerem 9 pułku piechoty, walczył pod Tczewem i przy oblężeniu Gdańska, za co otrzymał krzyże: *Virtuti militari* i legii honorowej. Zastępując wtedy swoją kompanię przed kawaleryą pruską i moskiewską, dostał się z dziesięcioma wołyżerami do niewoli. Odprawiono go do Rygi, z kąd wypuszczony po zawartym pokoju w Tylży, udał się do Francji.

Z tą niezłomną chęcią kształcenia się coraz więcej i doskonale, a zawsze w myśli umiejętniejszej służby krajowej, młody Chłapowski otrzymał dekretem cesarskim pozwolenie wstąpienia do szkoły politechnicznej w Paryżu, i po ukończeniu w niej nauk, złożył przed generałem Bertrand egzamin oficera inżynierii, chociaż już poprzednio w piechocie rangę kapitana posiadał. Przed kampanią hiszpańską mianowany przez cesarza adjutantem, czyli *officier d'ordonnance*, nieodstępnie odtąd sprawował przy nim służbę wojskową. A i na pokojach dworskich chętnie był widywanym, i cesarzowa Józefina podzielała życliwość swego

małżonka dla młodego Polaka. W pamiętnikach spólczesnych nierzadko spotkać się można z imieniem Chłapowskiego, a między innymi poważny saski pełnomocnik hrabia Seuff-Pilsach, nieskory do zboczeń z pola dyplomatycznych rokowań, stanowiących rdzeń jego zapisków, w obrazie Bajońskiego zjazdu wspomina o urodzie i wdzięku polskiego młodziana, którego sobie rozrywały salony dworskie, ilekroć nowemi okryty wawrzynami z pola bitwy do nich powracał.

A rzadkież to były wytchnienia chwile. Dość przypomnieć, że Chłapowski brał udział we wszystkich kampaniach: hiszpańskiej, austriackiej i rosyjskiej, że się z kolei odznaczył i dzielnie potykał pod Tudelą, Burgos, Benavente, pod Ratyzboną, Aspern, Raab, Wagram i Znaim. W Hiszpanii walecznością i bystrym zmysłem wojskowym powszechną na się zwrócił uwagę, i podniesionym został na podpułkownika starej gwardii. Pod Ratyzboną, 5 sierpnia 1809 r. mianował go Napoleon baronem imperium francuzkiego. W r. 1812 odbył całą straszną kampanię rosyjską; wyliczyć niepodobna wszystkich potrzeb i bitew, w których świetny wziął udział. Dość wspomnieć Krasnoje, gdzie cesarz, mając przy sobie zaledwie cztery bataliony piechoty i cztery szwadrony kawalerii pod dowództwem Chłapowskiego, dzięki głównie umiejętnie prowadzonym szarżom tych ostatnich, opierał się przez dzień całej armii Kutuzowa. W roku 1813 młody podpułkownik pod Lutzen i Bautzen złożył nowe dowody biegłości w sztuce wojennej i osobistego męstwa. W bitwie pod Reichenbach przechylił szalę zwycięstwa kilku dzielnymi rzutami na Moskali i Prusaków. Tamże otrzymał ciężką ranę odłamkiem granatu, co nie przeszkodziło, że w dwa dni później zdołał rozbić część kawalerii armii pruskiej i wziąć 159 ludzi do niewoli.

W powyższym ustępie trzymaliśmy się nietylko dat i danych, ale i słów autora ściśle i serdecznie nakreślonego zaraz po zgonie sędziwego wodza nekrologu, umieszczonego w Kuryerze Poznańskim. Mimo osobliwych łask monarszych, młody

Chłapowski nie dał się nigdy olśnić gwiazdą Napoleońską. Nie dla tego też, iż ona gasnąc i blednąc poczyniała, ale, że z klęską r. 1812 ujawniła się niedbałość o losy Polskie, które najpierw naszemu młodzieńcowi na sercu leżały, postanowił obce porzucić znaki, skoro już one na wywalczenie niepodległości ojczyzny posłużyć nie miały. Dowiedziawszy się w Pradze o prawdopodobieństwie poświęcenia Polski i Księstwa Warszawskiego dla wytargowania pokoju, Chłapowski nie wahał się o dymisyę prosić, czego jednocześnie żądał i Chłopicki. Daremnie marszałek Soult przedkładał mu, aby w połowie nie przerywał świętego zawodu, daremnie sam cesarz ulubionego próbował zatrzymać przy sobie oficera ordynansowego. Oparł się wszelkiej pokusie stały w raz powziętem postanowieniu młodzieniec, i wycofał się z czynnej służby, która miała więcej na celu chwałę własną cesarza, aniżeli wymiar sprawiedliwości dla Polski. Jątrzące się rany, ogólne skołatanie zdrowia w tylu rozlicznych wojennych potrzebach, nareszcie doznane rozczarowanie i zawód patryotyczny, wywołały niebawem ciężką chorobę. Chłapowski długie tygodnie przeleżał w domu księcia Caraman, z którego całą rodziną odtąd serdeczna i dozgonna połączyła go przyjaźń. Bliższy nawet węzeł miał uświęcić i ustalić zobopólnej uczucie, ale gdy wraz z ręką córki księżę zażądał wynarodowienia się jej oblubieńca, osiedleniem w Francji i zaciągnięciem się na zawsze w francuzkie szeregi, gdzie młodemu pułkownikowi obiecywano dowództwo brygady, Chłapowski umiał i tonową zwyciężyć pokusę, dla serca i ambicyi zarówno ponętną poświęcając ohotnie i tkliwsze uczucia i świetnej przyszłości widoki tej czynnej a świętej miłości ukochanej ojczyzny, której do końca wiernym pozostał.

Nie darmo umysł ludzki wielkie odbiera wrażenia, nie darmo człowiek w wielkich znajduje wypadkach. Coś z tej wielkości ostatecznie do duszy przylega, i sposobniejszą też do wielkich czyni ją rzeczy. Nam, którzyśmy wzrosli wśród kupczenia i materializmu dzisiejszej epoki, a

którym tyle jednak w duszy szlachetnego instynktu zostało, iż mamy przeświadczenie własnej małości i znikczemnienia, owo pokolenie, wychowane wśród tytanicznych zapasów początku naszego wieku, zdaje się być pokoleniem olbrzymów, tak dalece w każdym kierunku przerażają oni dzisiejszych ludzi miarę. Jak wszystkie prawdziwe wielkości, widna u nich ta męska pokora, co nigdy nie folguje w usiłowaniach dążących nietylko ku dobremu, ale ku lepszemu, nietylko ku zdobyciu potrzebnych nauk i wiadomości, ale nadto ku nieustannemu kształceniu się i postępowaniu coraz dalej i wyżej.

W tej myśli, okryty chwałą młody bohater nie wraca spocząć na laurach w domowej zagrodzie, ale spieszy do Anglii i Szkocji, celem praktycznego nauczenia się kwitnącego tamże rolnictwa. Zebrawszy spory zasób spostrzeżeń i doświadczenia, który niebawem na ojczystej miał użytkować niwie, wraca do kraju, i nową podejmuje walkę, nowe trudy, aby podupadły majątek rodzicielski ocalić od zguby. Chwyta się twardej, nieustannej pracy, a że nie dobrze człowiekowi być samemu, przybiera sobie towarzyszkę godną siebie, która miała mu dopomóc w założeniu tego słynącego na kraj cały domu Turewskiego.

Dobra żona trzy węgły domu stanowi, staropolskie świadczy przysłowie. Roztropnym też wyborem zapewnił sobie śp. Jenerał Chłapowski szczęście całego życia. Został jeszcze w pamięci starszych, w tradycji młodszych skwapliwie z ust do ust podawanej, wdzięczny obraz tych trzech sióstr Grudzińskich, które wśród lekkomyślności i zepsucia

ŻOŁNIERZ I PIONIER POSTĘPU ROLNICZEGO W WIELKOPOLSCE



GEN. DEZYDERY CHŁAPOWSKI

Materiały z konferencji naukowej w Manieczkach w 200. rocznicę urodzin gen. Chłapowskiego. Projekt Christian Gomolec

warszawskiego społeczeństwa, w samem ognisku płochy światowości, bo w domu marszałka dworskiego Brońca, który poślubił był ich matkę, przedstawiały wyjątkowe zjawisko niezrównanych wdzięków i cnoty nad wiek dojrzałej. Spółcześni nieraz zastanawiali się nad zagadką tych trzech istot wybranych, który wśród całkiem nieprzychylnej atmosfery rozwijały się poważnie a pobożnie, jak trzy lilie otrząsając z swych białych kielichów każdy pyłek światowości. Jedną z nich Joannę, spotkał niebawem los niespodziany a wysoki. Niepojętą jest dla nas rzeczą, jakim sposobem w czasach naszych, tak skłonnych do studyów biograficznych i wyzyskiwania pośmiertnego materiału, nie znalazło się dotąd nikogo, aby nam oddać tę wdzięczną a zatartą już

nieco postać Żanety Grudzińskiej. O ile wnosić można z całego jej usposobienia, nie płocha ambicyja powodowała nią przy oddaniu ręki W. księciu Konstantemu. Gorąca katoliczka marzyła o pozyskaniu jego duszy na łono Kościoła, a świeże dowody nawrócenia się cesarza Aleksandra, tłómaczą niejedno mętne słowo pozostawione w dorywczych zapiskach księżnej Łowickiej, i wyjaśniają gorące jej uczucia dla cesarskiego szwagra, z którym prawdopodobnie religijna ją łączyła sympatya i porozumienie. Do tej pierwszej pobudki na wskroś chrześcijańskiej duszy, łączyła się nadzieja służenia swoim, osłonięcia Polaków przed gwałtami czysto barbarzyńskiej natury. Rychło owe dziewicze złudzenia rozwiązać się miały. Zaraz w pierwszych tygodniach poślubnych żona W. księcia Konstantego pisała do siostry: *Ce n'est pas lune de miel mais bien plutôt de fiel qu'on devrait dire.* A niebawem

poznawszy lepiej swego małżonka, zwierzała się tejże siostrze: *Il a du coeur, mai sil n'a pas d'ame.* Druga siostra, Józefa, wyszła za żyjącego po dziś dzień pułkownika Gutkowskiego; najpiękniejszą była, a tak idealnego wdzięku, że lata nic nie ujęły rzadkiemu a zawsze świeżemu urokowi, jaki wywierała. Do późnej sędziwości zachowała dziecięcą naiwność i prostotę; zawsze młode zapały do wszystkiego co piękne i dobre, a serce równie czułe i tkliwe jak umysł był powabny i żywy. Najznakomitszą wszakże z pośród tych trzech sióstr, była niewątpliwie najmłodsza, Antonina, ta, którą cała Polska czciła i wielbiła pod zrosłym z jej pamięcią tytułem generałowej Chłapowskiej. Nie nam kusić się o oddanie postaci tej wielkiej chrześcijanki, która w

wieku naszym odnowiła tradycje świętych matron i niewiast. Sławił ją odpowiednio do jej zasług największy mówca naszego czasu, Ojciec Hieronim Kajsiewicz, a w owym żalobnym przemówieniu, chcąc przedstawić wizerunek jej duszy i życia, cały ustęp o niewieście mężnej z ksiąg Mądrości w wiernej parafrazie do niej zastosował. A ztąd odmalował i tę wieś polską, i ten dom Turewski, w którym odtąd z małżonkiem miała rozpocząć apostołstwo wspólnej pracy i dobrych przykładów.

Wszakże nie od razu ustaliło się to życie, które w ostatnim okresie miało już niepowrotnie oręż na lemiesz zamienić, i w ustronnej wiejskiej przemiąć zaciszy. Zanim nowa burza Napoleońska wojownika powołała ku nowym zapasom, czas jego rozdzielała się pomiędzy czynną pracą w roli a służbą publiczną, od której się nigdy nie uchylał. Wbrew ogólnie dziś przemagającemu prądowi, który dowcipnie ktoś napiętnował mianem *ekonomicznego kochania Ojczyzny*, śp. Jenerał Chłapowski, nie sądził, aby zachowanie i przyrabianie majątku starczyło na zadysycuczynienie obowiązkom względem kraju. Nie zamykał się też w obrębie gospodarskich zatrudnień i znojów, ale raz po raz wybiegł na szerszą dziedzinę spraw publicznych. Już w r. 1822 powołanym został do Berlina, aby tamże wraz z ks. Arcybiskupem Wolickim, księciem namiestnikiem Radziwiłłem, hr. Skórzewskim, a mianowicie referendarzem Józefem Morawskim, którego słusznie uważać można za ojca uwłaszczenia włościan na ziemi Wielkopolskiej, radzić o przeprowadzeniu odnośnego prawa.

Mimo opozycji następcy tronu, obywateli i mieszczan zaproszonych z innych prowincji, udało się wysłańcom Wielkopolskim przeprowadzić szlachetne swe wnioski, do czego śp. Jenerał Chłapowski nie mało się przyczynił. W roku 1827 piastował urząd zastępcy marszałka Sejmu prowincjonalnego, którym był natenczas książę Sułkowski, posłował zaś na tenże Sejm przez wiele lat i obranym został radcą jenerałnym Towarzystwa kredytowego.

Na hasło listopadowego powstania, był jednym z pierwszych, co swój oręż ponieśli na usługi Ojczyzny. Odbiegając zarazem i domu i zajęć ulubionych w roli, pożegnał śp. Chłapowski młodą żonę i dziatki, a przykładem swym niewątpliwie pociągnął za sobą ów piękny zastęp szlachetnej młodzieży, którego naówczas Wielkopolska dostarczyła obronie krajowej, a z których tylu już wrócić nie miało! Jakikolwiek był ostateczny wypadek nierównej walki, uczyć należy w tym okresie porozbiorowych dziejów naszych przykłady tak wzniosłej ofiarności z siebie, majątku i życia, że choć materialnie kraj stracił dużo przez wojnę z 1831 r., moralnie podniósł się i uszlachetnił, a pokolenie, które wtedy chrzest krwi odebrało, świecić miało aż po dni nasze wyjątkowym hartem i dzielnością.

Nie tu miejsce rozwodzić się nad ruchami i obrotami kilkumiesięcznej walki, której przebieg z historii dobrze nam jest znanym. Bystrooki żołnierz Napoleoński od razu zmierzzył położenie, i nalegał na Chłopiczkiego, aby, nie wierząc w żadne układy, cały naród powołał do broni; wkroczenie na Litwę i przeniesienie tamże środka operacji wojskowych uważał on za konieczny powodzenia warunek. Takie też było znaczenie memoriału, podanego przezeń już w grudniu 1830 r. dyktatorowi, a zgadzającego się zupełnie z równoczesnym zapatrywaniem Chrzanowskiego i Prądyńskiego. Widząc, że radą nic zdziałać nie potrafi, pospieszył Chłapowski na linię bojową, a jak przy rozstaniu z małżonką żadnymi serdecznymi nie dał się zatrzymać względami, tak i teraz nie zważając na obecność bratowej w przeciwnym obozie, należał do tych, którzy najczynniej wypierali z kraju uchodzącego W. księcia Konstantego.

Po świetnym udziale w bojach kwietniowych przeciw Dybiczowi, świeżo mianowany jenerałem, Chłapowski widział sobie poruczoną osobną wyprawę na Litwę. Pierwsze jego kroki naznaczyła zwycięzka potyczka pod Lidą, niebawem pod Mereczowszczyzną polskie działa zagrzmiały na cześć kolebki Tadeusza Kościuszki, a Jenerał Chłapow-

ski własnoręcznie zdobył sztandar rosyjski. Posuwając się coraz dalej w głąb kraju, genialnym pomysłem chciał zająć Wilno, przeczuwając, iż krok ten stanowczy mógłby rozstrzygnąć powodzenie walki. Nieudolność Giełguda zwichnęła ów piękny zamiar, i ostatecznie sprowadził klęskę pod Wilnem i Szawlami, tudzież owo przejście granicy pruskiej, poczytywane za tak srogą winę Jenerałowi Chłapowskiemu przez namiętności spóczesne. Dziś po ich uciszeniu, niepodejrzane świadectwa (żeby tylko wspomnieć zdanie politycznego przeciwnika, Mierosławskiego) wyjaśniły prawdę dziejową, i zapóźnioną wymierzyły sprawiedliwość. Wiadomo dziś powszechnie, jak niesłusznymi były zarzuty, które ciskano na jedyne go z trzech wodzów litewskiej wyprawy, który wiedział, czego chce i jasne miał przed sobą zamiary. Wykazało się niebawem z poufnych korespondencji, że Dembiński i Giełgud byli w zmowie, aby plany Chłapowskiego krzyżować, że na nich tedy spada odpowiedzialność, która tak dotkliwie zaciężyć miała nad szlachetną śp. Jenerała Chłapowskiego głową. Ale wtedy wrzawa rozterki przygłuszała odgłosy sprawiedliwości, niedola równie jak niewola sączyła jady, a jak zwykle po niepowodzeniu każdy pragnie znaleźć uosobienie onego przyczyn, aby może z siebie część odpowiedzialności zrzucić lub pofolgować wewnętrznemu zakwaszeniu, tak i teraz zewsząd podniosły się wzajemne oskarżenia. Część ich nie mała przypadła w udziale naszemu jenerałowi, pojąc go myrrą i żółcią w chwili, gdy prawdziwie krzyżowe znosił męki. Jobowe bowiem na niego spadały naraz ciosy: obok najśroźszego zawodu w sprawie ojczystej i bolesnego zakończenia orężnego powstania, otrzymał wiadomość o zgonie narodzonego podczas wojny dziecięcia, słyszał odgłosy podnoszących się przeciw niemu szkalowań, widział się skazanym na długie forteczne więzienie i ciężkie grzywny za udział w wojnie o niepodległość. (Dokończenie nastąpi).

* Zachowano pisownię oryginału.

Dzienniki Macieja Morawskiego (XXV)

Paryska „Kultura” zinwentaryzowana



Maciej Morawski, Teresa Jakubowska i ks. Maciej Wala w Bonikowie 2013 r.

Fot. Teresa Mastowska

Maciej Morawski, były korespondent paryski Radia Wolna Europa, honorowy obywatel Kościana oraz Krzywina, od lat systematycznie pisze dzienniki. Większość zapisków zdeponował w Bibliotece Polskiej w Paryżu. Kilka lat temu tradycyjne zeszyty poszły w ką, a Maciej Morawski zamienił pióro na klawiaturę komputera. Poniżej drukujemy kolejny odcinek wyjątków z dzienników pisanych w 2016 r. Czytać je można w całości na internetowej stronie maciej.morawski.blox.pl

*

12 stycznia minęła 23. rocznica śmierci Józef Czapskiego, wyjątkowego Polaka i w pewnej mierze kosmopolity; jednej z najbardziej godnych uwagi postaci Europy XX wieku. Genialnego malarza i znawcę malarstwa, wielkiej wagi pisarza i świadka historii (np. odsłonięcie sprawy Katynia zrzęcznie maskowanej przez Stalina i jego agenturę w świecie). Człowieka cieszącego się najwyższym zaufaniem pewnej liczby wielkich tego świata, w tym de Gaulle'a, Andre Malraux. Dzięki wyjątkowej pozycji mógł swemu jakże drogiemu i bliskiemu przyjacielowi Jerzemu Giedroyciowi walnie dopomóc w powołaniu do życia „Kultury”. Ponoć specjalistów uderza, świadcząca o autentycznej kulturze sposobu bycia i elegancji postaw, tak wyjątkowa „na polskim podwórku zżartym ambicjami i rywalizacjami bardzo autentycznie pańska tonacja tekstów i listów Józia”. Co tak rzadkie, przy innych ogromnych talentach, był on w każdym calu i w każdym słowie oraz w każdej reakcji stuprocentowym dżentelmenem. Cieszę się, iż dzięki naciskom mego przyjaciela Mariusza Kubika i dzięki szlachetnemu Romanowi Czajce, mogłem kilkanaście dni temu być w Le Mesnil-le-Roi na grobie Józia!

*

W miniony poniedziałek 15-letni muzułmanin w Marsylii nieopodal francusko-hebrajskiej szkoły zaatakował nauczyciela

Żyda maczetą i lekko go poranił. Ujęty przez policję młodociany agresor stwierdził, iż działał w imię Allacha i Państwa Islamskiego. Jest to typowy przypadek młodego człowieka, który uległ ideologii dżihadu szerzonej metodą Internetu. Nie jest to pierwsze tego rodzaju wydarzenie w Marsylii. Wczoraj przewodniczący liczącej 70 tysięcy osób wspólnoty żydowskiej tego miasta zachęcał miejscowych Żydów do nie noszenia jarmułek. Ale wielki rabin Francji zajął, podobnie jak szereg żydowskich osobistości, inne stanowisko. Dał jasno do zrozumienia, że nie należy dać się zastraszać, trzeba nadal nosić kipe, czyli jarmukę. Wezwał ponoć wszystkich, którzy 20 stycznia mają zamiar pójść na wielki piłkarski mecz w Marsylii, aby udali się tam w jarmułkach. Już wiadomo, że także i pewna liczba nie-Żydów ma zamiar w ten sposób dać wyraz solidarności z Żydami.

*

Wczoraj w Maisons-Laffitte (właściwie w Le Mesnil-le-Roi), w Domu „Kultury” przy 91 avenue de Poissy miała miejsce dużej wagi i bardzo sympatyczna ceremonia. A to w związku z faktem, że dobiegła końca inwentaryzacja przez lata starannie gromadzonych przez Jerzego Giedroycia, mających wielką wartość historyczną archiwów „Kultury”. Podniosłej ceremonii przewodniczył prezes stowarzyszenia Instytutu Literackiego „Kultura” Wojciech Sikora. W imieniu rządu RP wagę zakończenia inwentaryzacji podkreśliła nowa wiceminister kultury Magdalena Gawin. Głos zabierali też Tomasz Makowski i Władysław Stępiak. Dość licznych uczestników serdecznie witała żona Sikory i cały jego zespół. Spośród obecnych, a szczególnie mi bliskich wymienię tylko; Kazimierza Lubicz-Zaleskiego, Agnieszkę Kucińską oraz Romana Czajkę.

*

Tutejsze środki masowego przekazu wiele uwagi poświęcają

temu, co zaszło w Wagadugu - stolicy Burkina Fasso. Terrorysty zaatakowali tam luksusowy hotel. Śmierć poniosło 29 osób, w większości cudzoziemców, ponoć co najmniej trzech Francuzów. Zabito trzech terrorystów. W akcji antyterrorystycznej obok sił miejscowych udział wzięli francuscy wojskowi stacjonujący w Wagadugu w ramach walki z dżihadystami w krajach Sahelu. W ramach terrorystycznej ofensywy stale coś się tam wydarza! W pełni potwierdza się teza, że terrorizm to współczesna forma wojny! Sprawa wielce poważna. Po pierwsze, jak z tego podobno dobrze zdają sobie sprawę eksperci Pentagonu, siły zbrojne Zachodu i ogólnie Zachód nie jest dostatecznie przygotowany na wojnę z terroryzmem. Po drugie, jest rzeczą dość prawdopodobną, że terrorysty prędzej czy później zastosują szczególnie groźne formy ataku. Nie można wykluczać na przykład, że będą posługiwać się dronami. Ale potencjalne zagrożenia mogą być bardzo różne. Nie można wykluczać, że wysoko wykształceni dżihadysty - użyją broni wymaganych przez autorów powieści kryminalnych...

*

Wielka radość znaleźć się znowu w Ojczyźnie i spotkać w Warszawie licznych krewnych i przyjaciół, znaleźć się pod opieką stryjecznej bratanicy Gabrieli Morawskiej oraz ciotecznej siostry Reni Jakubowskiej. Niegdyś Renia zajmowała się z wielkim poświęceniem moją starszą siostrą Basią Ledóchowską. Wczoraj dużej wagi spotkanie w Radio Cafe. Prezentacja książki Lechosława Gawlikowskiego przynoszącej zwykłe i niezwykłe życiorysy zmarłych już pracowników RWE. Lechosław Gawlikowski przedstawił swą, od siebie dodam, benedyktyńską pracę. Mówił o trudnościach, na jakie siłą rzeczy natrafiał. Wszak jasne, że to bardzo trudne zadanie opracować tak wielką liczbę biogramów, dotrzeć do koniecznych informacji i dokumentacji, przedstawić nieraz tak

barwne i różnorakie biografie naszych zmarłych kolegów. W czasie spotkania zabierało głos wiele wybitnych osób. Rzucało się w oczy, że ogrom trudnej pracy wykonanej przez Gawlikowskiego cieszy się ogólnym uznaniem. Zabrałem także głos, wyrażając przekonanie, że zawsze bezstronny i obiektywny, stojący ponad wszystkim sporami dzielącymi nasze środowisko, Leszek Gawlikowski był osobą najbardziej powołaną do tego, by wykonać to trudne zadanie. Zadanie, z którego wywiązał się bardzo rzetelnie i - co ważne - z wielkim taktem. Mocno podkreśliłem pozytywne znaczenie tego, że Gawlikowski uwydatnił to, że nasz zespół stanowił zwartą drużynę, że w naszej walce liczyli się wszyscy jego członkowie, w tym także personel pomocniczy.

*

Niewątpliwie nareszcie kraje Unii Europejskiej, także USA i Rosja, nieco energiczniej biorą się teraz za dżihadystów! Ale próby znalezienia politycznej drogi wyjścia ze skomplikowanych sytuacji np. w Syrii czy w Libii - na razie niewiele dają. Okazuje się, iż miał rację pułkownik Kaddafi, który w 2011 roku ponoć mawiał: „Oni nie wiedzą, co robią, jeśli Zachód spowoduje moje obalenie, będzie miał niesamowite kłopoty z ultrasami Islamu, zobaczy, jak groźnymi są ci fanatycy, ta fanatyczna zaraza”! Jednego dziś nie można wykluczać. Czując się zagrożonymi, dżihadystami i ich „śpiące komórki”, w różnych krajach mogą w imię odwetu i - dla ratowania prestiżu - w olbrzymich masach muzułmańskich świata zaostrzyć działania terrorystyczne!

Co do terroryzmu nuklearnego, starannie zachowałem wycinek z „Le Monde” z 19 marca 2005 r. To poważne pismo donosiło wówczas, że słynny amerykański uczony, spec od problemów, jakie mogą w dziedzinie terroryzmu przynieść nadchodzące dziesiątki lat, Graham Allison na zamówienie redakcji „Monde 2” opracował scenariusz skutków, jakie mogłyby

spowodować wybuch w Paryżu w okolicach siedziby Zgromadzenia Narodowego małej (10 kiloton) bomby atomowej! Śmierć ponieśli by w obrębie pięciuset metrów wszyscy ludzie, a w obrębie dwustu metrów budynki zostałyby dosłownie zniesione. Podmuch wybuchu poważnie uszkodziłby budynki w kręgu kilometra. Im dalej od punktu wybuchu, tym stopień śmiertelności w wyniku promieniowania byłby coraz mniejszy. Nastąpiłaby kolosalna panika, policja i służby zdrowia straciłyby panowanie nad sytuacją. Od siebie dodam - niewątpliwie cały kraj znalazłby się w zamęcie i być może pozbawiony kierownictwa! Rzecz jasna, podobne byłyby skutki takiego zamachu, godzącego np. w Biały Dom w Waszyngtonie. W pewnej mierze wojna z dżihadystami zapewne stanęłaby pod znakiem zapytania (nie byłoby komu nią kierować?!).

Według mnie zawsze trzeba być przygotowanym na najgorsze; wzmocnić środki bezpieczeństwa, wyposażać organy władzy w siedziby w schronach, zaplanować ripostę. Ale ja nie jestem specjalistą. Mogę tylko mieć nadzieję, że zachodnie dowództwa sił zbrojnych wszystkie zagrożenia; cyberatak, broń chemiczną, bombę atomową - biorą pod uwagę. 3 lutego br. „Le Figaro” w wielkim, pierwszoplanowym tytule jasno stwierdza, że we Francji żyje 8250 radykalizowanych islamistów i że od niecałego roku liczba tych fanatyków się podwoiła oraz - że są wśród nich kobiety i nastolatki. A dotyczący tego samego tematu artykuł wstępny „Le Figaro” nosi nader wymowny tytuł „Bombes humaines” („Ludzkie bomby” - a może „Ludzie-bomby”?)

*

Jak mnie z Londynu zawiadomiła Virydianna z Raczyńskich Xawerowa Reyowa, wdowa po Xawerym Reyu, prezesie SPK oddział Francja, następcy mego ojca na stanowisku przedstawiciela w Paryżu legalnego Rządu RP na wychodźstwie w Londynie - 2

lutego br. zmarła jej siostra, Wanda z Raczyńskich Dembińska (ur. w 1933 r. w Genewie). Pogrzeb odbędzie się w rodzinnej krypcie w Rogalinie. Spoczywają tam śp. prezydent Edward Raczyński, ojciec Wandy, jedna z najwybitniejszych postaci, gdy chodzi o np. kontakty ze sferami kierowniczymi Zachodu drugiej wielkiej emigracji, a w czasie II wojny światowej minister spraw zagranicznych w rządzie generała Władysława Sikorskiego, człowiek, który pierwszy podniósł alarm na najwyższym szczeblu świata Zachodu dotyczący Holokaustu Żydów! W Rogalinie leży mąż Wandy śp. rotmistrz Ryszard Dembiński, żołnierz Generała Maczka, uczestnik słynnej bitwy pod Falaise (lato 1944 r.), później członek kierownictwa oraz długoletni Prezes Instytutu Polskiego i Muzeum im. Generała Sikorskiego w Londynie. Wanda była osobą wysoce taktowną, wielkiego uroku, popularną, ogólnie lubianą, ofiarną i uczynną. Podobnie jak jej dwie siostry umiała - jeśli to tak wolno sformułować - podtrzymywać dość jednak specyficzne, nacechowane wolą służenia Polsce i Polakom tradycje rodu Raczyńskich. Dziś nie czuję się na siłach poruszać inne tematy. Jestem pod wrażeniem faktu, że odchodzimy! Do tego fatalnie spałem tej nocy. Męczyły mnie dziwaczne ponure sny. Może to wiąże się z faktem, że ostatnio zabierałem głos przed kamerami tak zasłużonego, gdy chodzi o ochronę pamięci o naszej trudnej walce o wolność i demokrację dla Polski, Studia Filmowego „Kontakt”. „Kontakt” kręci film o mnie. Musiałem więc sięgać pamięcią do przeszłości. Nawiązywać do godzących we mnie i rodzinę pogróżek, kampanii gwałtownych oszczerstw i z uporem kolportowanej wrogiej szarej propagandzie, która była mieszanką prawdy, półprawdy i całkowitych wymysłów.

Wybór i opracowanie
TERESA MASŁOWSKA

Nałęczowskie ścieżki Prusa



Muzeum Bolesława Prusa. Rekonstrukcja warszawskiej pracowni pisarza

Fot. Teresa Maślowska

„Przed tymi którzy jadą na wakacje, stają(...) pytania: gdzie jechać? W jaki sposób odbyć podróż? Ponieważ o czym donosiły pisma, dziś nawet wiejskie baby wybierają się do wód zagranicznych, rzecz zatem naturalna, że ludzie szyku, dla niezmięszania się z pospólstwem mają tylko dwa wyjścia: albo jechać na księżyc, albo do zakładów kuracyjnych krajowych. Jednym z takich miejsc na które, ośmieliłbym się zwrócić uwagę chorych i osłabionych turystów, jest Nałęczów, położony w guberni lubelskiej. Podróż łatwa, miejscowość piękna i kuracja dobra...” - Tak w „Kurierze Warszawskim” zachwalał uroki Nałęczowa Bolesław Prus.

Trafił tam w 1882 r. za namową doktora Karola Benniego leczyć się na agorafobię. Pierwsza wizyta w nałęczowskim sanatorium była raczej

wymuszoną sytuacją w jakiej się pisarz znalazł, niż ciekawością i chęcią poznania miejsca.

- Okazało się, że mam wcale piękny początek fenomenalnej choroby zwanej: obawą przestrzeni. Benni wytłumaczył mi, że: za 6 tygodni będę zdrow, ale muszę jechać na wodnistą kurację do Nałęczowa. Więc pojedę - pisał w listach do przyjaciela.

Przyjechał i zakochał się w tym miejscu. Wracał tu odpocząć przez następne 28 lat. Miał nawet plan, by się z żoną z Warszawy na dobre przeprowadzić do Nałęczowa. Ostatecznie nie doszło to do skutku. To za przyczyną Prusa, w końcu XIX w. Nałęczów stał się miejscem niezwykle popularnym. W swych korespondencjach z uzdrowiska zachwalał jego uroki i skuteczność terapii. I tak o Nałęczowie dowiedziała się cała Polska.

Uzdrowisko nad Bochotniczką

Trafiam do Nałęczowa podobnie jak Prus, bez większego entuzjazmu. Z tą różnicą, że bez zdiagnozowanej agorafobii i w celach turystycznych. Jest to kolejny punkt wycieczki po Kazimierskim Parku Krajobrazowym w obrębie turystycznego trójkąta: Puławy- Kazimierz Dolny - Nałęczów. Już pierwsze wrażenie pozwala zrozumieć zachwyty pisarza. Nałęczów, położony w przepięknej okolicy, wśród zielonych lasów i lessowych wąwozów ma w sobie coś unikalnego. Dzisiejsza świetność sięga 1880 r. Wówczas zaczął się złoty okres w rozwoju uzdrowiska. Trzech lekarzy Sybiraków: Konrad Chmielewski, Wacław Lasocki i Fortuna Nowicki powołali spółkę do prowadzenia zakładu leczniczego. Odremontowali pałac, łaźienki, odrestaurowali park, który do dziś jest sercem miasta. Łagodny klimat



Ławeczka Bolesława Prusa w Parku Zdrojowym w Nałęczowie

Fot. Teresa Maślowska

otoczenia sprzyja działalności uzdrowiskowej. W miasteczku jest kilka sanatoriów specjalizujących się głównie w kardiologii. Park jest ogromny, ponad 20 hektarowy. Przepływa przez niego rzeka Bochtownicznica, tworząc w centrum staw z niewielką wysepką, na którą prowadzi malowniczy mostek.

Spacerując, wyobrażam sobie jak tymi samymi alejkami parku ponad sto lat temu chadzał Prus. Widzę, jak pomimo lęku przestrzeni przemierza park na ówczesnym bicyklu, co stało się jedną z jego ulubionych metod spędzania czasu w uzdrowisku. W liście do żony Oktawii tak opisywał swój pobyt:

- Najukochańsza Laluniu! 13-go sierpnia o 6-jej rano przyjechałem do Nałęczowa, przez 14 dni wypocząłem, a dzisiaj piszę do Ciebie moje Złotko, i piszę na maszynie! W dodatku wykapałem się i przejecha-

łem na rowerze... Słowem same uciechy, do których przybyła mi jeszcze jedna. Oto... kupiłem sobie... aparat fotograficzny, z różnymi dodatkami, na co jak lodu, wydałem 22 ruble, pomimo, że aparat jest nowy i dobry...

W pałacu Małachowskich

Miał pisarz słabość do nowinek technicznych i często z nich korzystał. Okazały się owe wynalazki niezmiernie przydatne w jego pracy dziennikarskiej. Lubił obserwować tutejszą rzeczywistość, wszystko i wszystkich a swe spostrzeżenia zapisywać w „Kronikach Nałęczowskich”. Szczególnie upodobał sobie aparat fotograficzny, gdyż jak sam przyznawał, nigdy nie miał zdolności do rysunku. Z pasją robił zdjęcia a lubelski krajobraz utrwalił na kartach swoich powieści i opowiadań.

Jeszcze jeden fragment listu do

żony: - Dziś był dzień naprawdę majowy: dużo włączyłem się i żałowałem, że ty nie widzisz tych cudów i po pracy nudzisz się w Warszawie... Pogoda ciągle pyszna, w tej chwili pełny księżyc mam przed oknem, część parku wygląda jak dekoracja z cudownej bajki... Gdybyś widziała noc onegdajszą księżycową: obudziłem się o 2 ½ w nocy i nie mogłem się od okna oderwać. Nie ma równego poematu.

Spacer alejkami parku doprowadza mnie do Pałacu Małachowskich. Pałac zbudowany został z fundacji Stanisława Małachowskiego herbu Nałęcz projektu architekta królewskiego Ferdynanda Naxa. W końcu XIX w. przebudowany został na potrzeby zakładu leczniczego według koncepcji Karola Kozłowskiego i nazwano go Kursalem. To tu mieszkał Henryk Sienkiewicz, koncertował Ignacy Jan Paderewski.



Pałac Małachowskich w Nałęczowie

Fot. Teresa Maślowska

To tu w pokoju na piętrze Prus pisał „Placówkę”, „Lalkę” i „Emancypantki”.

Czarny chleb i kwaszony ogórek

- Pisał też prędko, bez skreśleń, bez poprawek, równym swoim pismem, zawsze wyrażając niedbałość o pisanie. Pisał z odcinka na odcinek. W Nałęczowie zamykał się zwykle nocą w swoim pokoju, zabrawszy ogórek kwaszony i kawałek czarnego chleba; rano odcinek był gotów; pani Oktawia pilnowała, żeby imiona nie były pomyłone, i kompletowała egzemplarz wycinków. Kiedy noc była księżycowa, Prus nie mógł sypiać, ona też, więc chodzili po Nałęczowie, i wtedy to „Dębicki wykladał Madzi astronomię” - relacjonuje Oktawia Żeromska serdeczna przyjaciółka Prusa z Nałęczowa, żona Stefana Żeromskiego.

W pałacu Małachowskich na parterze w małym pokoju, gdzie Prus mieszkał i tworzył dziś mieści się muzeum pisarza. Utworzono je w 1961 r. Obecna ekspozycja otwarta została w 1997 r. w 150. rocznicę urodzin Aleksandra Głowackiego, znanego w literaturze jako Bolesław Prus. Po raz kolejny wracam myślami do czasów ówczesnych pisarzowi. Oglądam wyposażenie domu z epoki twórczości pisarza i jego osobiste pamiątki. Rękopisy listów do Oktawii Trembińskiej (narzeczonej, następnie żony), zdjęcia pisarza z różnych okresów jego życia, pierwodruki utworów, przekłady dzieł Prusa. Archiwum muzeum jest bogate. Na mnie największe wrażenie robi maszyna do pisania firmy Hammond z końca XIX w. i historyczny już dziś model aparatu fotograficznego Kodak. Narzędzia jakimi posługiwał się w swojej pracy

Bolesław Prus. Zatrzymuję się przy biurku pisarza. To fragment warszawskiego gabinetu autora, który został odtworzony na podstawie dokumentacji fotograficznej. Przy takim biurku siadywał Prus i pisał.

- Istnieje u nas wyobrażenie, że rozum, zdrowie i zabawę kupić można tylko za marki albo guldeny, nigdy za ruble. Jest to przesąd. Na kupno rozumu nie zdadzą się nawet dolary ani funty szterlingi, zdrowie zaś, odpoczynek i zabawę tak dobrze można nabyć w Nowym Mieście i Nałęczowie, jak Kaltenleutgeben albo Gebersdorfie.

KATARZYNA ŻUREK

*) Korzystałam z publikacji Haliny L. Bukowskiej pt. „Bolesław Prus w Nałęczowie”, Lublin 2013

Na biegówkach w Jakuszycach



Kibice spieszą na Puchar Świata w Jakuszycach

Fot. Teresa Mastowska

Dobry znajomy długo i z zapałem opowiadał, jak co roku zimą wyprawia się na biegówki w Karkonosze, na Suwalszczyznę, śmigał w rajdach aż na Litwę. Zachęcona postanowiłam sama spróbować. Problemem był śnieg, którego w styczniu 2014 roku było jak na lekarstwo. Prawdę mówiąc wcale go nie było. Poza Jakuszycami, miejscem o szczególnym mikroklimacie, gdzie śnieg podobno jest zawsze.

Zarezerwowałyśmy noclegi z nauką jazdy. 15 stycznia rano wsiadłyśmy w pociąg, który po wielu godzinach dowlókt się do stacji Szklarska Poręba Górna. Pogoda była paskudna; nad miastem nisko wisały chmury, wiatr targał nagimi gałęziami. Szaro, ponuro, śniegu ani widu, ani słychu. Duch w nas trochę podupał. Noga za nogą poszłyśmy na dworzec PKS. Autobus dowiózł nas przed samą kwaterę. Ale co ważniejsze, zaraz po wyjeździe ze Szklarskiej zobaczyłyśmy śnieg!

Pierwsze koty za płoty

Przy wyborze jednego wolnego terminu nie zaniepokoiło nas specjalnie, że w tym czasie rozegrany zostanie Puchar Świata! A ci nam tam, przecież nie musimy go oglądać. I tu zemścił się brak zainteresowania wszelkimi sportami; skokami narciarskimi, biegami narciarskimi, olimpiadami. Nie myślałyśmy o pucharze świata w biegach narciarskich, ale ten szybko dał znać o sobie. Na początek dowiedziałyśmy się, że śnieg niby jest, ale w ilościach niewystarczających i dlatego zwozi się go ciężarówkami z całej okolicy, żeby dośnieżyć trasę pucharu. Organizatorzy, miejscowi, kibice - wszyscy chwycili za łopaty, żeby wygarnąć śnieg z każdej trasy, drogi, dosłownie z każdego zakamarka. Nie oszczędzili nawet leśnej ścieżki, na której miałyśmy się uczyć, a liczne trasy narciarskie normalnie dostępne dla zwykłych narciarzy, zostały zamknięte. Po drodze za domem da się trochę pojeździć - pocieszał

trener. Po czasie wyczytałam, że przewodniczącym Komitetu Organizacyjnego Pucharu Świata 2014 był wtedy nikomu nieznany Jacek Jaśkowiak, ten sam który jesienią wystartował w wyborach i wysadził Grobelnego z fotelu prezydenta Poznania.

Nazajutrz dobrałyśmy buty z nartami i poszłyśmy w las. Nauczyciel, uczestnik wszelkich maratonów, zadbał o rozgrzewkę. Musiałyśmy ciekawie wyglądać niezdarnie próbując przypiętymi nartami, to w jedną, to w drugą stronę, w przód i na boki. Po czym trener zaczął wyjaśniać podstawowe zasady jazdy na biegówkach. Dowiedziałam się, że są narty wąskie na porządne wyjeżdżone trasy i szersze do swobodniejszej jazdy po nieprzetartych szlakach. Oczami wyobraźni już widziałam siebie szusującą po ścieżkach na podpoznańskim Morasku. Zanim przypięłam deski, byłam pewna, że nauka to małe piwo. Oczy mi się otworzyły, kiedy spróbowałam odepchnąć się i poszusować



Pomnik żołnierzy poległych w I wojnie światowej w Harrachovie

Fot. Teresa Maślowska

niczym gazela. „Wszystko jest trudne zanim stanie się proste” – twierdzi Thomas Fuller i wie, co mówi. Narty sobie, nogi sobie, każda w inną stronę. I spotkanie z glebą. Niejedno. Po chwili Kaśka już śmigła wte i wewte, a ja? Ja robiłam dobrą minę do złej gry. Ale w końcu nie od parady płynie we mnie góralska krew, żeby się poddać jakimś deskom. Tylko spokój, przecież dobrze wiem - tłumaczyłam sobie, jak wyglądała nauka pływania, ping-ponga, czy tenisa ziemnego. Na początku nic nie wychodziło, wszystko robiło się nie tak. Aż za którymś kolejnym razem udało się załapać, o co chodzi. I tak było tym razem. Trochę uporu i cierpliwości, ale bez wielkiej ambicji, która niepotrzebnie rujnuje radość. Walcząc z nartami i swoim umysłem, przypomniałam sobie także Nepalczyków, którzy cieszą się działaniem, a wyniki to dla nich rzecz wtórna. Wreszcie kilkanaście upadków później, kosztach w postaci zdartej ręki, bo z dnia na dzień śniegu coraz mniej, zaczę-

łam pokonywać ścieżkę w głąb lasu i z powrotem. Warunki były fatalne, mokry śnieg, prześwitujący gdzieś żwir. Ale przecież nie po to przyjechałyśmy, żeby siedzieć w naszym pokoju, czy w knajpie.

Bez autografu

W kwestii lokali w Jakuszycach nie ma wielkiego wyboru. Restauracja Bombaj. Dlaczego Bombaj skoro można tam zjeść kotlet schabowy, zraz, pierogi z jagodami i czerwony barszcz, ale chyba nie ma ani jednego dania curry czy samosy. Z tego wyjazdu nie pamiętam ani jednego dania, które warte byłoby wspomnienia. Jest jeszcze bar w ośrodku sportowym Biathlon. Akurat jadłam rosół z makaronem, kiedy ktoś wchodząc powiedział nam smacznego. Ja bym nie zauważyła, ale Kaśka powiedziała, że to Justyna Kowalczyk. W sumie nic dziwnego FIS był coraz bliżej, nikt nie mówił o niczym innym. We mnie odezwał się

dziennikarski duch, żeby poprosić ją o autograf dla Czytelników „Wiadomości Kościańskich”. Może gdybyśmy do mistrzyni wystartowały z jej fotografią, inna byłaby rozmowa, a tak odesłała nas na konferencję prasową. Nasza góralka była wtedy w formie. W niedzielę, kiedy my byliśmy już w drodze do domu – w biegu na 10 kilometrów zajęła pierwsze miejsce. Chociaż co niektórzy twierdzili, że nie miała z kim przegrać, bo Norweżki zostały w domu.

Puchar rozegrano w sobotę i niedzielę. Co kilkanaście minut autobusy z Jeleniej i z Czech dowoziły kibiców do Jakuszy. Rzesze z flagami, narodowymi barwami nawet na policzkach, w kolorowych czapkach wysypywały się z pociągów na stacji w Jakuszycach. Nie cierpię tłumów, a wrzeszczący kibice grają mi na nerwach. Dlatego w pierwszy dzień tego szaleństwa postanowiłyśmy ominąć to szaleństwo i pojechać do czeskiego Harrachova. Autobus przewiózł nas przez granicę bez



*W oczekiwaniu na obiad w Bombaju
Fot. Teresa Masłowska*

przystanku i bez kontroli paszportów, czy nawet dowodu osobistego. Wciąż cieszę się, że teraz bez problemów przekraczamy granice krajów unii. Dobrze pamiętam przejścia graniczne najeżone drutami kolczastymi, budy z ponurymi celnikami i strażnikami. Przed 1989 r. w Berlinie Wschodnim byłam świadkiem jak niemieccy pogranicznicy stali na peronie trzymając na smyczy ujadające wilczury. Z okien pociągu z Polakami poleciały w ich stronę – niestety słuszne – porównania do hitlerowców. Dwa lata temu strefa Schengen miała się dobrze, ale to było zanim tysiące uciekinierów z Syrii zaczęły forsować południowe granice chcąc do Europy. Nie ma takiej siły, która powstrzyma biednego przed dostaniem się do świata bogatych. Kto jak kto, ale my powinniśmy przecież to najlepiej wiedzieć.

Kawa w Harrachovie

Miasteczko skąpane w słońcu było puste i ciche. Szczęśliwie nie rozgrywano żadnych skoków narciarskich. Harrachov, posiadające osiem skoczni, w tym mamucią, znane jest przecież z mistrzostw świata w lotach narciarskich. Swego czasu Adam Małysz bił tam rekordy. Pięć lat temu zamienił skoki na rajdy samochodowe, a kibice wciąż czekają na sportowca, który dorówna mistrzowi, ale Małysz pierońsko wyśrubował poziom. Przez chwilę wydawało się, że zastąpi go Kamil Stoch.

Harrachov, jak to miejscowość w górach, rozłożyło się wzdłuż głównej ulicy, która ciągnie się nitką przez kilka kilometrów. Spacerowałyśmy bez konkretnego celu nie pytając o drogę. Po prawej pomnik w kształcie krzyża z dużych granitowych bloków z niemieckim napisem: „Naszym synom poległym w wojnie 1914-1918”. Poniżej kilkadziesiąt nazwisk żołnierzy. Jedno z jakiegoś powodu wymazane. Przed pierwszą wojną światową Czesi byli poddani cesarza Franciszka Józefa, a Sudety zamieszkiwali Niemcy, stąd nie dziwi, że na pomniku więcej niemiecko niż czesko brzmiących nazwisk. Czechosłowacja, podobnie jak Polska, wyłoniła się jako państwo na mapie świata w 1918 r.

Nad miasteczkiem góruje kościół świętego Wacława. Skromny w wystroju, chociaż podobno w stylu empire. Pod koniec stycznia – jeszcze czas Bożego Narodzenia – więc ołtarz przystrojony choinkami ozdobionymi jedynie w anielskie włosy. Ołtarz przyciąga uwagę, bo w części jest zrobiony ze szkła. Kościół otwarty, ale nie było w nim żywej duszy. Miejscowość słynie z 300-letniej tradycji produkcji szkła. Hutę, jedną z najstarszych w Czechach, założył austriacki ród Harrachów. Jedną z atrakcji jest sposobność obejrzenia tradycyjnej metody wyrobu szkła i funkcjonującego przy niej Muzeum Szkła, którego nie sposób przeoczyć, bo mieści się w bijącym po oczach żółtym budynku. Jest też sklep firmowy z piękny-

mi, ozdobnymi wyrobami z kolorowego i malowanego szkła, ale ceny są zawrotne. W głębi zapraszał browar także Novosad. Nie zdecydowałyśmy się na wizytę, bo trzeba było dość długo czekać na kolejne wejście, a wkrótce odjeżdżał nasz autobus. Chodziła za nami kawa, ale jakoś nie mogłyśmy zdecydować się na żaden lokal. I jak to zwykle bywa, zmęczone wybieraniem wylądowałyśmy w pierwszej lepszej kawiarni prawie na drugim końcu miasta. Wystrój jest przyjemny, podobnie jak obsługująca dziewczyna, kawa mocna i aromatyczna, ale ciasto okropne, może Czesi mają inny gust. Po południu wróciłyśmy do Jakuszyc.

W niedzielę tłumy znowu waliły na zawody, a my z plecakami pod prąd szłyśmy na Kolej Izerską, najwyżej położonej w Polsce. Szynobus dowiózł nas do Szklarskiej, gdzie przesiadłyśmy się na osobowy do Poznania.

*

Wciąż nie udało mi się zrealizować marzenia, żeby kupić narty i kontynuować bieganie u siebie na Morasku, bo każda następna zima jest bez śniegu. Będę chyba musiała wymyślić sobie jakiś inny zimowy sport. W połowie lutego, kiedy piszę ten tekst, za oknem jak na ironię hula śnieżycą, że świata nie widać. Ale to tylko chwilowy atak zimy, jutro spadnie deszcz, a termometry pokażą 6 stopni Celsjusza.

TERESA MASŁOWSKA

Na wyspie Joannitów



Widok na Vallettę – stolicę Malty

Fot. Wikipedia

Taśma „karuzeli” sunie spiralami. Wraca, ginie gdzieś w otworze ściany. I znowu na wyciągu wyskakuje z przeciwnej strony rząd walizek, pakunków, tobołów. Coraz tego mniej. Pozostaje w końcu – czego to ludzie nie wożą – złożony wózek dziecięcy, paka niesamowitych rozmiarów i pusty, wędrujący w kółko, czarny, mechaniczny pas. Opustoszała hala portu lotniczego w Luqa, ostatnia grupka pasażerów znika za drzwiami. Naszych walizek nie ma, nie przyleciały z nami na Malte.

Należy zgłosić zgubę. Wysoka dziewczyna podsuwa do wypełnienia formularz-tasiemiec. Zachowuje się z charakterystyczną dla ludzi małych państwek nonszalancją, źle maskowanym lekceważeniem. Tak samo postępują czarni urzędnicy na Karaibach, kiedy nadarzy się okazja pokazania białemu człowiekowi swej „władzy”.

W czasie, gdy Jadwiga mozoli się z odpowiadaniem na głupkowate pytania, mijam znudzonych celników i wychodzę na placyk przed budynkiem. Jest Staś Wujastyk! Zaparkował w pobliżu swój samochód. Niepokoił się już, że nie przylecieliśmy, pociesza, że bagaż się znajdzie, często pono gubi się na trasie Amsterdam-Valletta. Mieszka tu kilka miesięcy w roku, zna miejscowe stosunki.

Malte można podobno pokochać albo znienawidzić od pierwszego spojrzenia. Obawiam się, że bliscy jesteśmy tej drugiej ewentualności. Autor *Mego Sudanu z bliska* z pewnością omija liczne pojazdy, zmierza ku wschodniemu krańcowi wyspy, gdzie mamy przygotowaną kwaterę. Krajobraz nieciekawo, szarozielony, mało kwiatów, kamienie, kamienie, kamienie. Czasem miasteczko z pięknym kościołem, czasem jakieś ruiny.

Wjeżdżamy w rojowisko niskich, szarych murków, gdzie tylko tubylec nie zbłądzi z kretelem. Niebieska plama morza, masywna brama zabezpieczona potężną kłódką, podparta od wewnątrz żelaznym drągiem.

W środku przyjemne zaskoczenie. Masa kwitnących krzewów i kwiatów, basen, przez arkady z białego kamienia, wspaniały widok na odnogę morską, głęboko wcinającą się w ląd, obrzeżoną urwiskami. Miejsce to zakupił niedawno jakiś zamożny Anglik.

Dom mieszkalny zrazu mniej nam się podoba. Przerobiono go z fermy na mieszkania dla letników. Idealne miejsce dla dwu rodzin z dziećmi. Spartańskie raczej urządzenia. Lodówka pełna jedzenia, ale zamiast kawy musimy zadowolić się... piwem. Do kuchenki podłącza się butlę z gazem. Niestety jakaś silna dłoń zacisnęła tak mocno kurki

ciężkiego pojemnika, że mimo wspólnych nie można nic zrobić.

Po kilku godzinach Staś odjechał. Zamknąłem za nim żelazną kurtynę. Zrobiło nam się nieco nieswojo.

Wokół zupełna pustka. Zbliżał się wieczór, daleko mrugały światełka jakichś ferm czy domków. Nie ma telefonu, do najbliższego autobusu dobrych kilka kilometrów, nie daj Boże jakiegoś wypadku. No i ten brak bagażu. Robi się chłodno. Jak tu spać bez piżamy, w jednej letniej koszulce? Przemęczyliśmy się jakoś do rana, hulał wiatr, trzaskały nie zamocowane okiennice.

*

Nazajutrz wczesną godziną wesoły klakson przed bramą. Jest Staś. Dzwonił na lotnisko. Są walizki, przyleciały nocnym samolotem. Zjawił nieznajomy Maltańczyk, w mig podłączył kuchenkę. Zjedliśmy solidne śniadanko, pojechaliśmy po bagaż, który sami musieliśmy wyciągnąć ze stosu podobnych podrzutków. Oczywiście dzisiaj inaczej to wszystko wygląda. Wróciliśmy do „domu”, rozpakowało się, pospacerowało w pobliżu. Romantycznie tu i kolorowo. Co za kwiaty, co za motyle.

*

Dziewięć dni pobytu na Malcie, dzięki uprzejmości i żenującej wprost gościnności państwa Wujastyków (żona Stasia, urocza pani Szarlotta, przyleciała tymczasem z Monachium) minęły jak z bicza trzask. Pogoda zrazu dość nieprzyjemna, dał silny północny wiatr, ustaliła się potem w pobliżu 30 stopni Celsjusza.

Jak to często bywa, pierwsze wrażenia są przyczyną przedwczesnych wniosków. Monotonne, nieciekawie wnętrza Malty przypominają wypalone słońcem krajobrazy Majorki czy Estremadury. Natomiast wokół brzegów mnogość malowniczych widoków, dobrze utrzymane drogi, egzotyczna flora, śródziemnomorskie piękno w całej okazałości.

Fenickie, rzymskie, bizantyjskie, arabskie, normańskie rządy pozostawiły cmentarzyska, ruiny, budowle, ślady przemijających cywilizacji i konfliktów. Najwięcej pamiątek

opowiadających o przeszłości tej ziemi znajduje się w dawnej stolicy Malty, Mdinie, od wczesnego średniowiecza otoczonego murami grodziska, strzelistymi wieżami dominującego nad dużą połacią wyspy.

Chodzi się wzdłuż wąskich, krętych uliczek, pełnych balkonów i wykuszów, zagląda do starych wnętrz, zamkniętych misternymi kratami, ogląda odrzwia bram otoczonych pilastrami, opatrzonych artystycznymi kołatkami. Wiekowe zabytki architektury, równie jak znacznie później wzniesione domy i kościoły na Malcie, odznaczają się głęboką żółtą barwą.

Sirocco, zwany tu także „Ghadaf-fii”, zrywa się niespodziewanie w czasie lata i jesieni, zbiera z pustyń masy piachu, który porwany skrzydłami wichury, wzbija się do stratosfery, po czym setki kilometrów dalej opada na ludzi, zwierzęta, domy, żółtoburym nalotem wżera się w mury, nadając im specyficzną patynę. Kiedy dmie sirocco, a hulać potrafi ten duszny, dokuczliwy wiatr tygodniami – ludzie stają się źli, skłonni do kłótni, zaczepek, nawet zbrodni. Podobno sądy tutejsze, kiedy staje przed nimi winny przestępstwa w okresie takiego dopustu, stosują znacznie łagodniejszy wymiar kary.

Dzięki niezwyklej uprzejmości przemiłych gospodarzy objechaliśmy całą wyspę, obejrzeliliśmy miejscowości lotniskowe Ghan Tuffieha, Mellieha, Selima, Qawra, Bugibba. Fantastyczne zatoki, lazurowe wody pełne białych plam żagli. Grzebień poszarpanych głazów oddziela od wody grzebień hoteli; schodkami wyciętymi w skale schodzi się na smugę złotego piachu, gdzie opalają się dziewczyny w szczupłych szmatkach bikini, a o zmroku Eros patronuje igraszkom współczesnych faunów i nimf.

Szczególnie zachwyciły nas Zatoka Świętego Pawła, gdzie w 88 roku rozbił się okręt wiozący Wielkiego Nauczyciela, oraz błękitna grotka.

Biało-brązowa skała otwiera się głęboką jamą, w niebieski półmrok wpływają łodzie i co śmielsi pływacy.

Pieczar takich jest tu, jak i na sąsiedniej wyspie Gozo – bez liku. Wedle nowoczesnej nauki, w podobnej skalnej kryjówce przez szereg lat więziła Odyseusza „boska nimfa” Kalypso.

Homer jak Homer, wiadomo – poeta, przedstawia nimfę jako niezwykłą piękność. Odnalezione na Malcie liczne figurki gliniane, pochodzące właśnie z okresu wojny trojańskiej, pokazują ówczesną lokalną kobiecość bardzo nieatrakcyjnie. Jest to potężne babsko o udach jak kłody i piersiach jak dynie. Biedny Odys... Nic dziwnego, że siedział na brzegu skały i płakał. Zapewne przypominała mu się Penelopa, o której już zdążył zapomnieć w ramionach Circe. Wiedźmy, bo wiedźmy, ale ponętnej miłośnicy o długich warkoczach.

Mało znaną atrakcją Malty jest szereg świątyń nie zbadanych bliżej szczepów, należących do epoki megalitycznej. Zasiadliły wyspę cztery do pięciu tysięcy lat przed Chrystusem. Budowle z tego okresu odnajdują uczeni na Sycylii, Korsyce, Sardynii, oglądaliśmy je na Balearach, na Minorce. Na długo przed piramidami faraonów w Egipcie, na długo przed kulturą minojską na Krecie, na małej stosunkowo wyspie u skrzyżowania śródziemnomorskich szlaków, nieznany lud spiętrzył ogromne głazy w ściany, wznosił stele, połączył słupy taflami gładzonego kamienia. Ołtarze ofiarne? Jedna ze świątyń składa się z komnat wcale obszernych, być może była miejscem kultu kilku bóstw. Inne sanktuarium otacza kolisko wysokich kolumn wyciosanych w regularne graniastostupy. Może podtrzymywały sklepienie zwalone wichurami, wstrząsami ziemi, naporem mileniów? Mury z mocno, choć bez żadnej zaprawy spojonych brył kamienia, portale, kędy przechodziły prowadzone przez kapłanów ceremonialne orszaki, z pewnością były niegdyś jaskrawo pomalowane, podobnie jak świątynie azteckie czy majańskie. Nawet dzisiaj, gdy przypatrzeć się uważnie, dostrzec można pod okrywającym wszystko żółtym nalotem nikielne smugi farby winkrustowane w kamień. Nad w

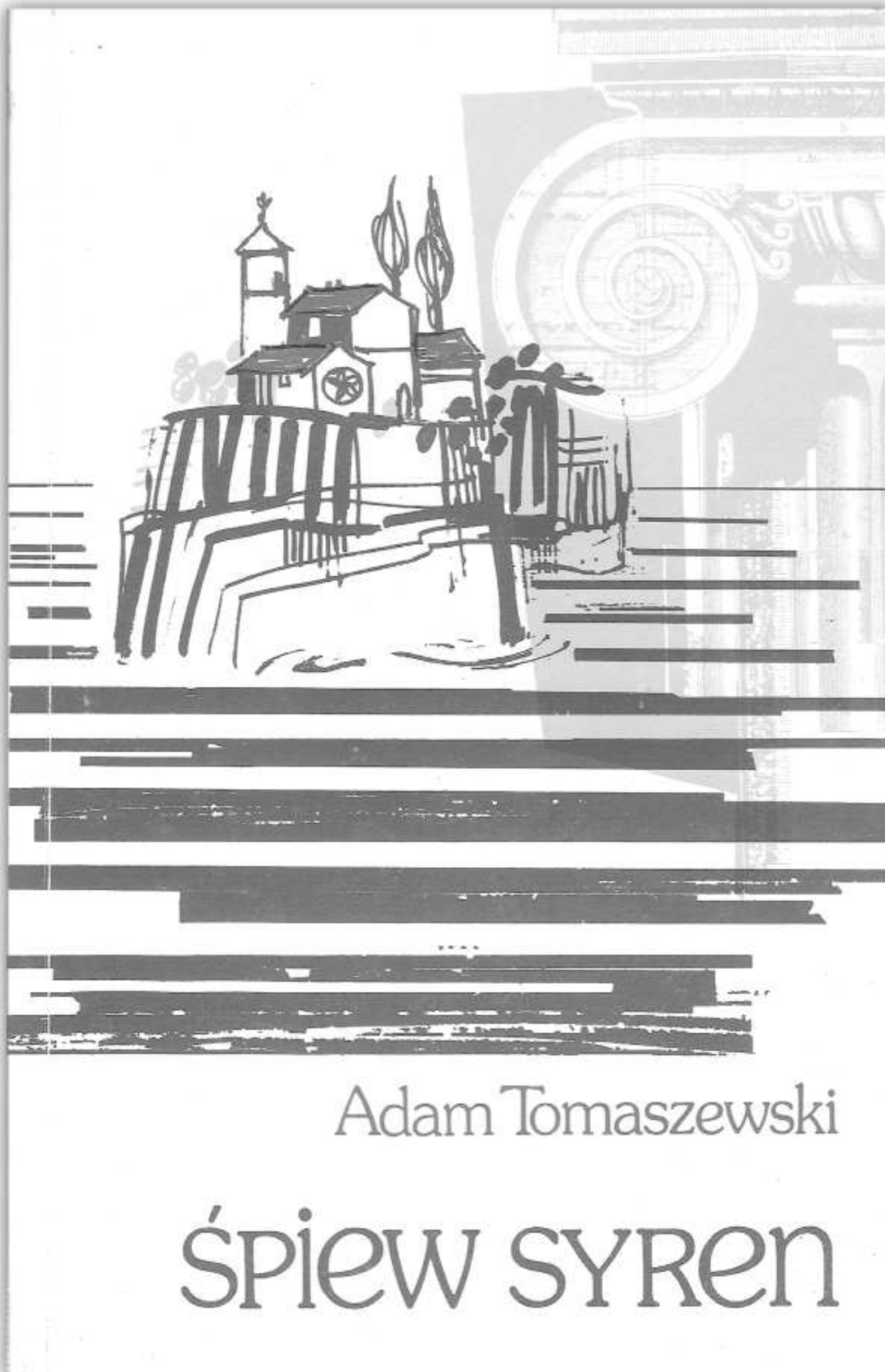
zadziwiająco dobrym stanie zachowanymi enigmatycznymi konstrukcjami wznosi się niekiedy bryła strzaskanej przez czas i erozja jakby wieży, jakby czatowni. Może to obserwatorium, gdzie kapłani wpatrywali się w planety, odczytywali przyszłość z gwiazd, „rozmawiali z bogami”?

Nie wiemy o tych sprawach prawie nic. Mimo postępu, zadziwiających odkryć, przerafinowanej techniki dwudziestego wieku, basen Morza Śródziemnego – kolebka kultury ludzkości, kryje jeszcze tajemnice, wobec których człowiek, choć już rozpoczął wyścig ku gwiazdom, wciąż staje bezradny.

*

Valletta. Stolica wyspy. Wsławiona czynami Joannitów. Powstał ów zakon w czasach wypraw krzyżowych, rezydował w Jerozolimie Wyzwolonej, walczył z Saracenami, opiekował się chorymi, stąd nosił również nazwę Szpitalików. Trzymał się potem razem z zakonami Templariuszy i Panny Marii (Krzyżaków) w Akrze, na ostatnim przyczółku chrześcijan w ziemi palestyńskiej.

Zakony te z czasem urosły do takiej potęgi, że stały się państwami w państwie, dbając raczej o własne interesy, niż o Grób Chrystusa. Niepoczytalnym wybrykiem baronów-feudałów, powszechnemu zepsuciu i upadkowi obyczajów, osłabieniu władzy królewskiej, ale i samowoli, bezkarności, egoizmowi wielkich mistrzów – przypisać należy upadek Jerozolimy.



Okładka londyńskiego wydania „Śpiewu syren” Tomaszewskiego

Powszechnie znane są niestawne dzieje Templariuszy. W procesach ciągnących się całe wieki oskarżano ich o największe bezeceństwa. Zakon Szpitala Najświętszej Marii Panny (Krzyżacy) to cynizm, obłuda, okrucieństwo. Czym byli ci rycerze w białych płaszczach z krzyżem, opowiada wyczerpująco historia.

Joannici, Kawalerowie Maltańscy, też mają, przynajmniej u początków swego istnienia, niejedną zaciebraną później skwapliwie przez historyków-apologetów wstydliwą sprawkę. Przyznać jednak należy, że przez dwa wieki bronili twardo wyspy Rodos przeciw wzbierającej groźnie

fali tureckiej. Wyparci w końcu z tej wyspy, z łaski cesarza Karola V osiedli na Malcie.

Był to czas, kiedy imperium osmańskie zwycięsko awansowało na zachód starając się opanować cały obszar śródziemnomorski i od południa uderzyć na chrześcijaństwo. Malta stała się ostatnią redutą stojącą na drodze Porty i wielkich zamierzeń sułtanów.

Kiedy w roku 1530 Joannici przybyli na wyspę, zorientowali się od razu, że nie oprą się potędze tureckiej w Mdinie, posiadającej zbyt słabe fortyfikacje. Przenieśli się tedy do Valletty, umacniając na gwałt forty, wznosząc mury obronne wokół naturalnego portu, tworząc z wyspiarzy pomocnicze oddziały.

W roku 1565 nadpłynęła potężna turecka armada i rozpoczęło się oblężenie. Zaciekle szturmy janczarów i

szprymierzeńców tureckich, afrykańskich korsarzy, zostały krwawo odparte. Pod wodzą wielkiego mistrza Jana Parisot de la Valette Joannici stali twardym murem na wałach, bili się z ogromną zaciętością, nie oddawali atakującym ani piędzi gruntu. W końcu determinacja i męstwo oblężonych przeważały szalę. Valletta obroniła się, zmusiła najezdnicze galery do odwrotu.

Natychmiast po odparciu inwazji rozpoczęto prace fortyfikacyjne na olbrzymią skalę. Za potężnymi bastionami umocnień powstawało równocześnie miasto według planów mistrzów budowniczych renesansu,

pełne pałaców, kościołów, wspaniałych budowli. Wnętrza ich i fasady to świadectwo tamtego czasu, zwierciadło odmiennających się stylów i epok. Od renesansu poprzez barok i rokoko do neoklasycyzmu.

Joannici przechodzą teraz od defensywy do działań zaczepnych przeciwko Turkom. Ich galery biorą udział w zwycięskiej, morderczej bitwie pod Lepanto w roku 1571, uczestniczą w zdobywaniu twierdz tureckich, stają na czele wypraw przeciw saraceńskim korsarzom, flota ich zaczyna panować na coraz szerszych połaciach morskich.

Rośnie bogactwo i prestiż, po dwu wiekach niebywałej koniunktury dopiero w czasie ery napoleońskiej zaczyna się upadek zakonu. Podczas wyprawy Bonapartego do Egiptu na krótko usadowili się na Malcie Francuzi, wyrzuceni wkrótce przez Brytyjczyków, którzy stworzyli tu swoją kolonię i silną bazę morską. Aż do roku 1964, kiedy Malta otrzymała niepodległość.

Z czasów Joannitów pozostało wiele pamiątek. Mimo straszliwych zniszczeń w czasie ostatniej wojny, dzisiejszy turysta podziwia liczne muzea, rycerskie oberże, gmachy, które nie zginęły pod gradem bomb. Najwspanialsze z nich to kościół św. Jana i Pałac Wielkiego Mistrza.

*

Lata 1940-1943 to dla Malty okres tragiczny, ale i bohaterski. Po przystąpieniu Włoch do wojny po stronie Osi, z sycylijskich baz odległych o 20 minut lotu, z lotnisk na południu włoskiego buta, nadlatują chmury włoskich i niemieckich bombowców atakujących instalacje brytyjskie wokół Grand Harbour – wielkiego portu w Vallecie.

W roku 1940 Brytyjczycy zagrożeni inwazją niemiecką zaledwie są w stanie obronić własne niebo. Przeciw ogromnej przewadze wroga Malta ma kilka eskadr przestarzałych maszyn myśliwskich.

Bronią wprawdzie portu liczne baterie dział przeciwlotniczych, reflektory omiatają niebo, nocami rozkwitają feerie krzyżujących się pocisków, niemniej bomby walą się i walą, tysiące domów wokół stolicy i

w innych częściach wyspy leżą w gruzach.

Zainstalowana w podziemiach starych fortów komenda portu stara się gospodarować jak najoszczędniej malejącymi zapasami benzyny i amunicji. Jest ciężko, coraz ciężiej. Brytyjczycy podejmują desperackie próby zasilania zasobów Malty, podtrzymania chwiejącej się obrony, utrzymania tak ważnej tak ważnej dla nich bazy morskiej. Lotniskowce, amerykański „Wasp” i brytyjski „Eagle”, podrzucają kilka eskadr Spitfire’ów, własne samoloty podejmują nieoczekiwane rajdy na porty wroga, zatapiają jednostki floty włoskiej w Katanii i Taranto, na krótko bohaterscy obrońcy Malty mogą odetchnąć, po czym znowu na nieszczęsną wyspę wali się lawina stali i ognia.

Z Wielkiej Brytanii płyną przez Zatokę Biskajską sznury statków z zaopatrzeniem. Zdziękowane przez wilcze stada niemieckich U-boatów docierają w końcu do Gibraltaru. Ale Gibraltar to dopiero połowa drogi. Ocalałe z pogromu tankowce i frachtowce, w asyście eskorty krążowników, kontrtorpedowców, fregat, korwet, wpływają na Morze Śródziemne, gdzie czeka nieustanna haratanina z nieprzyjacielem. Nie pomaga ogień pancernych olbrzymów. Owszem, wróg także ponosi straty, ale konwoje maleją, bomby, torpedy powietrzne, eksplozje trafionych tankowców, statek po statku idzie pod wodę. Do Malty, pod ochronę jej baterii nadbrzeżnych, docierają nieliczne tylko frachtowce i uszczuplona znacznie eskorta; bywało, że z całego konwoju przybijał tylko jeden statek z zaopatrzeniem. W końcu dostarczono Malcie paliwo i amunicję... łodziami podwodnymi. Łodzie te, między innymi i polskie, zatopiły sporo jednostek przeciwnika i odegrały dużą rolę w krytycznych dla aliantów walkach na Morzu Śródziemnym.

Ataki połączonych sił niemiecko-włoskich kierowały się głównie przeciw Vallecie i zdążającym ku niej konwojom. Ale przecie wróg nie oszczędzał i innych części wyspy.

W kościele parafialnym w Mosta ogląda się dzisiaj szczególną pamiąt-

kę, dowód niemieckiego barbarzyństwa. Jest to bomba, która spadła na kościół pełen ludzi, przebiła sklepienie, wylądowała na środku nawy i nie wybuchła.

Przy wejściu do świątyni są fotografie bomby i uszkodzonej kopuły, sprzedawane dyskretnie, by nie drażnić odwiedzających Malte masami gości z Niemiec. Pilot Stukasa zmykającego przed pościgiem brytyjskiego myśliwca tłumaczył się podobno, że w obawie przed eksplozją pozbył się na gwałt obciążających maszynę bomb. W roku 1943 skończyło się oblężenie Malty. Bohaterska wyspa otrzymała specjalne wyróżnienie. Krzyż św. Jerzego (*George Cross*).

*

Gromada zielonych autobusów obsługująca najtańsze krańce wyspy zatrzymuje się niedaleko bramy miejskiej; rozpoczyna się tu główna arteria stolicy, ulica Republiki, pełna sklepów, restauracji, zatłoczona tłumem mieszkańców i turystów.

Przede wszystkim szukamy agencji podróży. Trasa nasza wiedzie z Malty na Sycylię. Na razie jeszcze nie wiemy jak się tam dostaniemy. Teoretycznie można by trojako: samolotem, statkiem, albo szybkim promem, wodolotem (*hydrofoil*). Biuro „Alitalii”. Uśmiechnięte włoskie dziewczyny informują, objaśniają, doradzają. Okazuje się, że do Taorminy, która interesuje nas najbardziej, można dotrzeć tylko z Katanii, obok Palermo na północy, punktu węzłowego dla wszystkich podróżników na Sycylię. Zatem Katania. Statek „Tirrenia” odpływa w najbliższą sobotę.

ADAM TOMASZEWSKI

*) Tekst pochodzi z książki Adama Tomaszewskiego „Śpiew Syren”, Londyn 1993. Przyjaciół pisarza Stanisław Wujastyk (1914-2012), był lotnikiem, służył w Polskich Siłach Powietrznych, aktorem, współpracownikiem Radia Wolna Europa. Napisał kilka książek: „Młodości, damy ci skrzydła: rzecz o Szkole Pilotów Wojskowych” (1936), „Mój Sudan z bliska” (1984) oraz „Niebo nad Sudanem” (1998).

Poezja Eugeniusza Wachowiaka

Dłoń

Dłoń ta bywa sucha jak flamandzki sabot
a palce w niej zgięte
pięciu strzelnic drzewem
więc przez to gdy trzaska
trzaska pod wieżycą
oskardem wmuszonym
w skalca twardą krawędź

Chleb zaś jest istotny
jak rano
tak wieczór
więc przez to w zapachu
chleb kwaśny przenosi
nad zapach piwiarni
nad zapach akacji

Być – tak jest na przekór
dusznej wokół czadzi
jak werbel naprzeciw
ulic nocnej pustce

Dziś dłoń ta wysycha
na flamandzki sabot
jutro dłoń ta strzeli
pięciu strzelnic drzewem

Przejście

Żeby przejść ten korytarz
trzeba z odwagą stanąć
buty oczyścić z prochu
ręce osuszyć ciepłem
skórę uszczypnąć mocno
tak dla odprężenia

Można potem spróbować
lecz ciągle ostrożnie
by w rękaw podwinięty
nie wpełzł ruchliwy jaszczur
by przestach nie zniekształcił
mięśni samej twarzy

Iść tam jednak trzeba
przez wiekowe kurze
które taką przepaść
kryją pod sobą ciemną
że śmierć się żałosnym
wydaje być strachem

Czas słońce

Nie mogę tutaj przestrzec
bo czas omal chybił
i rośnie ślimacznica
góra natężenia
do zenitu o którym
trudno coś powiedzieć
jak po co i kiedy
albo może dokąd
bo mędrcy nie wiedzą
czy jeszcze nie wróci
z kosztami w których węże
jak Mojżesz na rzece
tyle że bez smoły
lecz za to z pałąkiem
zawieszonym przez ramię
jak kurtka rybaka

Nie ma w tym nawet Biblii
lecz jest księga życia
pisana tak jak dziennik
choć z większym odczuciem
spraw które dotknięte
jak łuski się mieniają
ryb które słońce
na dnie łodzi pluszcze
i błysk z nich przenosi
nad gór czarne garby

Wielka jest w tym moc słońca
potężna moc czasu
który głowy nakłania
do snu przed północą
po to by znów o wschodzie
nurzać w ziemi stopy
i palce zaciskać
na twardej czepidze

EUGENIUSZ WACHOWIAK

**) Wiersze pochodzą z tomiku „Medalion studzienny”, wydanego przez wydawnictwo „W Drodze” w Poznaniu w 1998 r.*

Twórczość Tadeusza Hofmańskiego

ŻE META OKRUTNIE ZWODZI

PO SIÓDME

W Ewy się tulę
nagrobnej płyty kamień
Aż zwyciężę śmierć

PO ÓSME

Wędrowiec w drodze
zapytał co u celu
I myśl stanęła

PO DZIEWIĄTE

Brama otwarta
szeroko jak ramiona
Jaśniej szczęście

PO DZIESIĄTE

Ciemno i deszcz tnie
twarz jakby rzemykami
Ewa też płacze

DOCHODZENIE KOŚCIANA W OKOLICZNOŚCIACH KOM- PROMITUJĄCYCH

Kościan się na mnie mocno zirytował. Wyrażenie „mocno zirytował” jest tutaj możliwie najbardziej eleganckie. Zazwyczaj w analogicznych kontekstach zastępowane jest w języku polskim – krótkim słowem, nawiązującym (skądinąd nie wiadomo dlaczego)

do nader swobodnych obyczajów pań. Kościan w każdym razie zażądał ode mnie radykalnej zmiany w nastawieniach albo całkowitego zaprzestania zwracania mu głowy. Wiedział, że wyrzucam sobie brak elementarnej mobilności, ale wyrzuty czynię sobie, wygodniej moszcząc się w fotelu. Jasne, że powinienem, choćby dla wewnętrznego spokoju, pofatygować się do miasta Kościana przynajmniej kilkakrotnie – licząc od ostatniego pobytu. Zawsze jednak znajduję arcyważną przyczynę, dla której z zamiaru muszę zrezygnować. Kościan mocno się na mnie zirytował, najnieoczekiwaniej dla mnie, przybywszy do Lipna, akurat wtedy, gdy wróciłem po odwiedzinach Ewy na cmentarzu w Mórkowie.

Ewa i Kościan oczekują, że dopóki mam kontakt z rzeczywistością globalną, europejską, polską, wielkopolską, kościańską – w drugim dziesięcioleciu trzeciego milenium – w tej rzeczywistości jakoś będę uczestniczył. Kościan wzywa mnie na przykład do miasta Kościana, bym przechodząc aleją Kościuszki, mocno zwalniając, mijając Liceum Ogólnokształcące imienia Oskara Kolberga, choćby bezgłośnie wyartykułował pogląd na losy uchodźców zmierzających do Europy i – zachowania wobec nich, nas, Europejczyków.

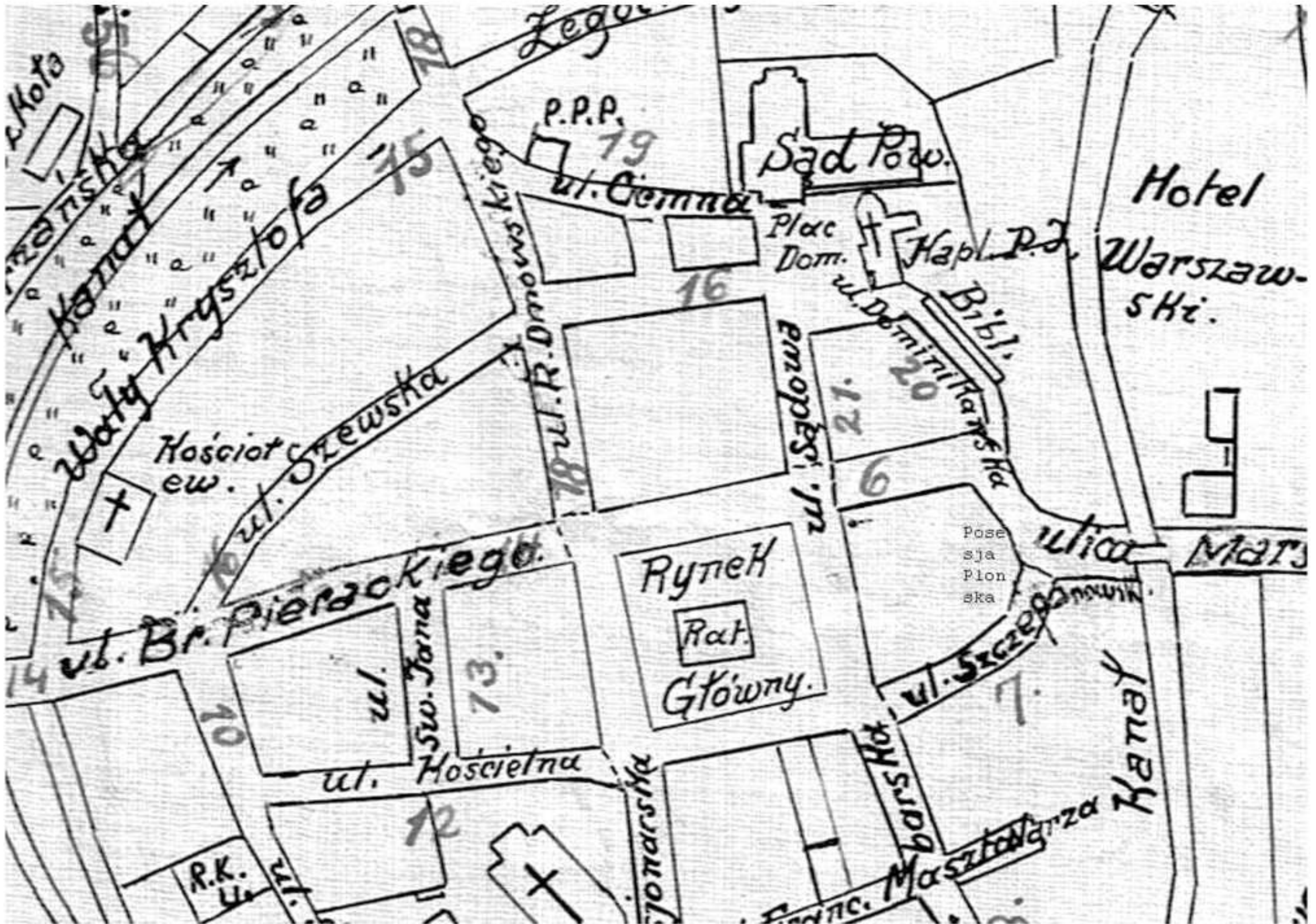
Tak mijając obiekt Liceum Ogólnokształcącego imienia Oskara Kolberga, odczułbym wzorcową pustkę we łbie, wynikającą ze skomplikowanego splotu racji wyrosłych ze straszliwych cierpień poszczególnych ludzi i istic demonicznego cynizmu innych poszczególnych ludzi. Tak czy inaczej kompromitująca porażka. Bardzo kompromitująca porażka.

Wobec Ewy i Kościana czuję się więc upokorzony: utraciłem zdolność jako takiego choćby odnajdywania się w rzeczywistości, w której przychodzi mi żyć. Ewa i Kościan uśmiechają się z politowaniem. Uśmiech z politowaniem może budzić nadzieję. Jak brzytwa w tonącym.

TADEUSZ HOFMAŃSKI

Przy szabasowych świąteczach (2)

(Z red. Jerzym Zielonką rozmawia Teresa Masłowska)



Fragment planu Kościana z 1928 r. z zaznaczeniem posesji Plonska.

Ze zbiorów Muzeum Regionalnego im. dra med. Henryka Florkowskiego w Kościanie

- Z tego, co do tej pory powiedzia-
łeś wynika, że Kościan w XIX wieku
podniósł się z gospodarczej ruiny.
Powstały fabryki, zbudowano obiekty
użyteczności publicznej, miasto
ponownie zaczęło rozwijać się i zyski-
wać na znaczeniu. A stało się to m.in.
dzięki kapitalizmowi i zapobiegliwo-
ści obywateli żydowskich...

- Może inaczej. Paradoksem w
dziejach Kościana jest niezaprzeczalny
fakt, że ogólnie pojmowana substancja
miejska, czyli tak zwany majątek
trwały, a więc: domy, urządzenia
techniczne, dworzec, poczta, cukrow-
nia, mleczarnia, fabryki - papieru,
zapatek, cygar i tytoniu, wytwórnie
wódki, hurtownie, restauracje i hotele,
nowe gmachy szkół wyznaniowych i co
tam jeszcze powstały pod pruskim

zaborem. Nie da się też zaprzeczyć, że
olbrzymi w tym udział miał kapitał
niemiecki i żydowski, ale podstawo-
wym czynnikiem osiągania zysku z
kapitału jest praca, a wkład pracy był w
zdecydowanej przewadze polski.
Jednym zdaniem kapitał obcy dawał
zatrudnienie Polakom, którzy mieli
pracę i lepsze lub gorsze zarobki, a
zyski czerpali właściciele kapitału.
Wysiłek rąk polskich robotników i
rzemieślników to bardzo istotny wkład
w rozwój Kościana w XIX wieku.

- O kościańskich Żydach, o
wzajemnych stosunkach polsko-ży-
dowskich opowiesz bez emocji.
Czyżby nie było konfliktów?

- Trzymam się twardo własnej
wiedzy o Kościanie i okolicy. Byliśmy u

siebie, karty rozdawały władze pruskie.
To one określały reguły gry i zależało
im na tym, by skłócać polskich miesz-
czan z żydowskimi. Nie było to trudne,
jeśli zważyć ewidentne różnice wyzna-
niowe. Temat jest delikatny, a emocje
zaciemniają racjonalne myślenie.
Odrzucam stereotypy i współczesne
myślenie polityczne. Przeanalizowałem
kilka tysięcy dokumentów, związanych
z dziejami społeczności żydowskiej w
Kościanie. W oparciu o nie stworzyłem
ogólny obraz sytuacji. Nie odpowiada
on zapewne wyobrażeniom zaciętrze-
wionych polityków obu nacji. Ale jeśli z
tego obrazu wyrwać jeden dokument,
jeden fakt - to na podstawie jednego
incydentu można tworzyć teorie spisko-
we i oskarżać się wzajemnie w nieskoń-
czoność.

Die Anlage
vollständiger Gasleitungen
 und die Lieferung von

GAS

- Armen
- Kronen
- Lyren
- Glühstrümpfen
- Gartenlaternen
- Comptoirlampen
- Kochern
- Heizöfen

übernimmt zu billigsten Preisen

S. Goldschmidt,
 Alleinvertreter der „Deutschen Gasglühlicht-Actienges., (Auergesellschaft) Berlin
für Kosten.
 Jede gewünschte Auskunft kann sofort ertheilt werden.

Reklama Salomona Goldschmidta w „Kostener Kreisblatt” w 1901 r.
 W zbiorach J. Zielonki

- Na przykład...

- W Kościanie Kulturkampf przebiegał w sposób szczególnie drastyczny. Do lat sześćdziesiątych XIX wieku stosunki między ludnością polską, a żydowską układały się nieźle. Ale w 1876 roku władze pruskie usunęły z parafii polskich duchownych i skierowały do Kościana rządowego proboszcza katolickiego, Niemca, księdza Juliusa Brenka z Piasków koło Gostynia. To była wyjątkowa kreatura. Podły człowiek. Ewangelicy - z przedstawicielami władz powiatu i miasta na czele - zacierali ręce. Katolicy odpowiedzieli całkowitym bojkotem nowego proboszcza i parafii. Nie przystępowano do sakramentów, organizowano „dzikie” pogrzeby bez księdza, chrzczono dzieci w wiejskich parafiach itp. To trwało 13 lat. Dużo o tym napisał mój przyjaciel mgr Jan Pawicki. Przywódcy kościańskiej gminy żydowskiej chcieli żyć w zgodzie z władzą, więc poparli Brenka. Przysłowiowej oliwy do ognia dolewał lokalny korespondent prasy niemieckiej, który w tych trudnych dla katolików latach zacięcie atakował prześladowanych księży.

- Masz na myśli niejakiego Herr Koziółka?

- Tak. Pisywał do niemieckiej prasy poznańskiej, później do berlińskiej. Z jego notatek wynikało, że w Kościanie ewangelicy są prześladowani przez katolików. W 1880 roku przeszedł siebie, bo w piśmie „Deutsches Montagsblatt” zamieścił korespondencję, z której wynikało, że musiał opuścić

miasto, bo grożono mu tutaj śmiercią i powtórzył wszystkie zarzuty wobec miejscowych księży, którzy byli aresztowani i wydani z parafii. W tym czasie szykany narastały, a policja pruska nie wychodziła z domów działaczy katolickich. Szybko wyszło na jaw, że Koziółek nie istnieje, a teksty te pisze syn sławnego rabina Wienera, a szwagier kościańskiego przedsiębiorcy Hamburgera – współwłaściciela fabryki zapalek. W mieście się zagotowało, a polskie gazety poznańskie – cenzurowane gęsto - nie pozostawiły na Wienerze vel Koziółku suchej nitki. Koziółek długo tkwił w świadomości kościaniaków, a przecież byli tutaj także obywatele żydowscy, którzy nie popierali pruskiej polityki i opowiadali się po stronie katolików, mając jakby przecucie, że oni mogą być następnymi ofiarami germanizacyjnych ataków.

- Dwadzieścia parę lat później fabryka zapalek Hamburgera i Plonska poszła z dymem...

- No tak, chcesz zasugerować, żeśmy się odegrali. Powiem więcej, byli i tacy, którzy uważali ten pożar za dopust Opatrzności. A jednak mylili się. To było w październiku 1904 roku. W centrum miasta, gdzie dom, sklep, hurtownię z wielkimi zapasami spirytusu i wódek oraz magazyn z zapalkami miał wspólnik Hamburgera Mayer Plonski, po południu przed 16-tą, wybuchł pożar. W sąsiedztwie znajdowała się apteka. Posenerstrasse 14/15 - posesja jest dzisiaj własnością rodziny Wenskich. Fabryka zapalek, położona

na przedmieściu Kościana w kierunku na Śmigiel, spłonęła rok wcześniej.

- I co, zbieg okoliczności?

- W sprawie tych pożarów, i wielu jeszcze innych, śledztwo prowadziła policja pruska. Trudno ją podejrzewać o tendencyjność. W przypadku fabryki zapalek na przedmieściu uznano, że przyczyną była – dzisiaj by to określono – nieostrożność w obchodzeniu się z ogniem. Jeśli chodzi o pożar u Plonska w stan oskarżenia postawiono i ukarano polskiego rzemieślnika mistrza blacharskiego Romanowskiego. Leszczyńskie pismo „Nowy Czas” donosiło: „Blachnierz Romanowski miał naprawić basen z naftą w sklepie Plonska. Powierzył on czynność tę synowi i dał mu do pomocy ucznia. Po zalutowaniu basena przybliżył uczeń świecę do takowego, aby stwierdzić czy nic już nie pozostaje do zrobienia. Od świecy zajęła się nafta, a wybuch nastąpił tak szybko, iż młody p. Romanowski i uczeń zaledwie ze życiem uciec zdołali. Ogień węzłem zaciągniętym do głównego składu przeszedł tamdotąd i tam tak samo spowodował wybuch, a ogień w mgnieniu oka objął skład cały, tak, że i personel w składzie zatrudniony zaledwie zdołał na czas skład opuścić. Ogień, mając dużo suchego, łatwo zapalnego materiału, rozprzestrzenił się z taką szybkością, że zanim na dany znak przybyła pierwsza pomoc, już pierwsze i drugie piętro stanęło w płomieniach, a nie trwało i pół godziny, gdy ponad dachem ukazały się ogniste języki. Straż kościańska była bezradną, wybuch bowiem następował jeden po drugim, powodując huk podobny do strzału armaty”. Strat w ludziach nie zanotowano. Obiekty były ubezpieczone. Synowie Plonska – Adolf i Max – w ciągu dwóch lat odbudowali je.

- Mówisz, że w Kościanie byli Żydzi, którzy współczuli doli Polakom pod zaborem pruskim i ich wspomagali. Możesz powiedzieć więcej?

- Małe miasta mają to do siebie, że każde inaczej obdarzyła historia - wiele z nich nie pasuje do uogólniających stereotypów. Kościan z punktu widzenia moich badań jest właśnie taki. Ludzie tutaj byli, są i będą różni. Nie dzielę ich ze względu na wyznanie, przynależność narodową, rasę, wiek, płeć, poglądy

polityczne; dzielę ich na dobrych i „inaczej dobrych”. W mieście w XIX w. żyło około 20 znaczących rodzin, może lepiej rodów żydowskich. Niewątpliwie w przyjaźni Polakom z wzajemnością byli Graetzwie. Rodzina przywędrowała do Kościana z Legnicy. Alexander Graetz senior założył drukarnię, był w połowie XIX wieku wielkim zwolennikiem współpracy środowisk polskich i żydowskich, wydawał drukiem w dwóch językach polskim i niemieckim pismo „Tygodnik Nadobrzański” [„Das Obra-Blatt”], którego redaktorem był Polak Głazewski. Z tego co wiem, jeden z nielicznych roczników tego pisma zachował się w prywatnej bibliotece dra med. Henryka Florkowskiego w Kościanie i z notatek z tego tygodnika też teraz korzystam. Każdy, kto ma choć trochę oliwy w głowie musi się podpisać pod treściami w nim zawartymi. Na dodatek, kiedy pruska cenzura zakazywała poznańskim oficynom wydawniczym druku polskich gazet, Graetz ryzykował i przyjmował zlecenia, nie „za wielką kasę”, ale za małe pieniądze. I tak przez pewien czas wydawał osławionego z walki o polskość „Wielkopolanina”. Zmuszony przez Prusaków do wyjazdu z Kościana, powrócił do Legnicy. Tęsknił za miastem. Po jego śmierci do Kościana sprowadził się ceniony litograf Alexander junior i tutaj prowadził ożywioną działalność twórczą.

- A Goldschmidtwie z Rynku nr 4, jacy byli?

- Głowa tej rodziny Salomon Goldschmidt, jeśli wgłębić się w zachowane w całości akta rady miejskiej i magistratu Kościana, w wielu przypadkach nie dał się „napuszczać” na polskich obywateli. Tam gdzie mógł ich bronił. Nie był pazurem, prowadził działalność charytatyw-



*Etykieta słynnego likieru „Iwan”.
Ze zbiorów Muzeum Regionalnego
im. dra med. Henryka Florkowskiego w Kościanie*

na wśród biednych miejskich, a więc niemal wyłącznie wśród Polaków. W 1901 roku w Kościanie zbudowano i uruchomiono miejską gazownię, a Samuel Goldschmidt został pełnomocnikiem berlińskiej firmy, która uzyskała wyłączność na dostawę i montowanie w mieście różnego rodzaju instalacji gazowych. To był złoty interes. Po jakimś czasie doniesiono na niego, że stosuje zmienne ceny, preferujące polskich klientów...

- A źli, czy - jak mówisz - „inaczej dobrzy” kościańscy Żydzi?

- Nie wymagaj tego ode mnie. W przypadku Kościana musiałbym mówić o wzajemnej obojętności i o wzajemnej samoizolacji. Co najtrudniejsze i jedni, i drudzy zamordowani zostali przez nazistów. Nie mogę natomiast nie wspomnieć raz jeszcze o rodzinie sławnego destylatora i przedsiębiorcy, twórcy receptury likieru „Iwan” Josephie Russaku. Pochodził z Lwówka koło Nowego Tomyśla – tam się urodził 25 grudnia 1838 roku. Według relacji Wawrzyńca Czajki Russakowie wywodzili się spod Mińska. Swoją firmę w Kościanie założył w 1861 roku; miał wtedy 23 lata. On i jego potomkowie byli przyjaźni wobec Polaków.

- Od niego to kupił sławną firmę wraz z recepturami wspomniany Wawrzyńiec Czajka, który znacznie rozbudował fabrykę.

- Tak niestety pisze wielu historyków i regionalistów. Czajka nie znał Josepha Russaka, bo ten 26 października 1899 roku zginął w wypadku pod Berlinem. Fabrykę przejął, prowadził i rozbudował jego syn Alfred, urodzony w Kościanie 9 lutego 1870 roku. Był trzy lata starszy od Wawrzyńca Czajki, który jeszcze przed I wojną światową założył małą hurtownię w Kościanie.

Z punktu widzenia narodowego w porządku, ale z ekonomicznej siły przebiccia, to była nieporównywalna różnica. Ale znali się i współpracowali ze sobą, w rezultacie czego w 1921 roku Czajka odkupił fabrykę i kontynuował poprzedników dzieło, choć już w mniejszej skali. Do wybuchu wojny Czajka wspomagał w Kościanie wnuka Josepha Russaka. Nie umniejsza to w niczym jego zasług dla umocnienia pozycji swoich



Willa Wawrzyńca Czajki w latach trzydziestych XIX wieku.

Ze zbiorów Muzeum Regionalnego w Kościanie

wyrobów na rynku krajowym. Niektórzy historiografowie przypisują też nieuczciwie Russakom pochodzenie pruskie, niemieckie i wyznanie ewangelickie. Nic z tych rzeczy – Russakowie byli Żydami, wyznania mojżeszowego.

- Znałeś osobiście Wawrzyńca Czajkę?

- Znałem i miałem szczęście z nim rozmawiać. Najwięcej czasu poświęcił mi w sierpniu 1968 roku, w okolicy jubileuszu 85. rocznicy swoich urodzin, kiedy nakłoniony przez nieodżałowanej pamięci dra med. Henryka Florkowskiego udałem się z nim do seniora Czajki, by zebrać materiał okolicznościowy do „Głosu Wielkopolskiego”. To był rok znamieny – nagonka Gomułki na Żydów. Senior Czajka był nią oburzony, wspominał Russaków i choć życie go doświadczyło, a w wypowiedziach był delikatny, użył słowa „hańba”. Spisałem kilkanaście kartek notatek, choć wiedziałem, że na opublikowanie większego tekstu nie ma szans tym bardziej, że pan Wawrzyniec był wybitnym działaczem

katolickim, prezesem i członkiem Rady Parafialnej w farze, uhonorowanym wieloma odznaczeniami kościelnymi. Ale jednak ukazało się jego zdjęcie i krótka notatka.

- A „Iwana” piłeś?

- Przy rozmowie było skromnie, po jednym małym do kawy; ale po ukazaniu się notatki mój dobry znajomy przedwojenny dziennikarz „Gazety Polskiej” red. Marian Urbański, który mieszkał w pobliżu pana Wawrzyńca, w konspiracji przyniósł mi prezent od Seniora - owinięte w szary papier dwie butelki. To był autentyczny „Iwan”. Nie odmówiłem.

- Wybuchło Powstanie Wielkopolskie, wybiliśmy się na niepodległość i wtedy obywatele żydowscy wyprowadzili się z miasta z obawy przed agresją narodowców, którzy przejęli tutaj władzę...

- To nie było tak. Odptyw ludności żydowskiej z miasta notowano od 1864 roku. Pierwsza duża fala emigracyjna nastąpiła w okresie od 1864 do 1890,

kiedy to z Wielkiego Księstwa Poznańskiego wyjechało ok. 46 tys. obywateli żydowskich. Kościaniacy wybierali głównie: Wrocław, Drezno, Berlin, Hamburg, także Amerykę. Ten proces trwał. W 1871 roku w Kościanie mieszkało 271, w 1895 – 191, w 1910 – 160, w 1917 – 50 obywateli wyznania mojżeszowego. Analizując losy tych, którzy wyjeżdżali dochodzę do wniosku, że w przypadku mojego miasta decydowała o tym w znacznej mierze kalkulacja ekonomiczna. A w kwietniu 1939 roku w Kościanie żyło już tylko 7 Żydów.

- Interesują mnie jeszcze trzy ważne wątki: koniec kirkutu, czyli cmentarza żydowskiego w Kościanie, losy urodzonych tutaj Żydów w zderzeniu ze zbrodnią Holocaustu, a także obecny status domów i posesji żydowskich w mieście.

- No to do następnego spotkania. (cdn)

TERESA MASŁOWSKA

Strajk szkolny 1906/1907 w Kościanie

2. Korten
 1. Joseph Pawlikowski; Chausse
 arbeiter im Dienste der stree
 polnischen Landbauinspekt
 v. d. Osten-Saken
 2. Matthias Ogrodowczyk,
 Arbeiter an der städt. Ins-
 anstalt
 3. Lev Trabka dergl.
 4. Joseph Zawadowski dergl.
 5. Kasper Fannulicki Nachtwächter
 6. Johann Kratjczak dergl.
 7. Franz Mankowski Arbeiter
 an der Schioten-Anstalt
 8. Peter Michalak dergl.
 9. Valentin Trabka dergl.
 10. Franz Maciejewski Bahnarbeiter
 11. Valentin Lientkowski dergl.

Fragment listy pracowników państwowych, których dzieci na lekcjach religii odmawiają odpowiedzi w języku niemieckim. Dokument z 28 X 1906 r. sporządzony przez Powiatowego Inspektora Szkolnego Sinza z Kościana. Oryginał w zbiorach Archiwum Państwowego w Lesznie

Jednym z fundamentów, które stanowiły w zaborze pruskim podwaliny odzyskania Niepodległości w 1918 r., była świadomość narodowa społeczeństwa polskiego i wynikające z tego patriotyczne działania w różnych dziedzinach, a więc oświaty, kultury, gospodarki itd. Szczególnym przejawem tych działań była walka o zachowanie języka polskiego, którego bohaterami stała się dziatwa wspierana przez rodziców, a także szerokie kręgi społeczeństwa polskiego, tj. ducho-

wieństwo, ziemian, mieszczan, rolników i robotników. Pozytywny udział w tych działaniach miała także polska prasa. Na naszym terenie była to „Gazeta Polska”. W okresie wspomnianych wydarzeń w Kościanie mieszkało około 7 tys. osób, wśród nich około 5,5 tys. było wyznania katolickiego, 1500 ewangelickiego oraz 150 Żydów. Do szkoły katolickiej w Kościanie w 1906 r. uczęszczało 690 dzieci. Z powodu braku miejsca 118 dzieci zamieszkałych przy ulicy Madaja i Szosowej

musiało uczęszczać do szkoły w Kietczewie. Obsadę szkoły w Kościanie stanowił rektor, 7 nauczycieli i 2 nauczycielki.

Zaostrzenie antypolskiej polityki oświatowej władz pruskich nastąpiły po objęciu rządów przez premiera von Bülowa i ministra Studta. Wydane przez nich zarządzenia nakazywały m.in. wprowadzenie nauczania religii w języku niemieckim, a osiągnęte w tym zakresie wyniki, miały świadczyć o gorliwości w

wypełnianiu obowiązków przez nauczycieli. W 1883 roku doszło do strajku szkolnego w Jarocinie, a w 1890 r. w Osiecznej. W 1901 r. doszło do najbardziej znanego strajku dzieci we Wrześni. Strajki te miały jednak ograniczony zasięg terytorialny i liczebny. W roku szkolnym 1906/07 doszło do eskalacji oporu wobec polityki oświatowej władz pruskich. Przyjmuje się, że powszechny strajk szkolny został zainicjowany 24 czerwca 1906 r. w Miłosławiu, gdzie uczniowie odmówili przyjęcia podręczników do nauki religii w języku niemieckim. W Kościanie do strajku doszło 23 sierpnia 1906 r. Wydarzenie to zostało poprzedzone wiecem, który zwołano 26 maja 1906 r. pod przewodnictwem ks. Józefa Surzyńskiego. Wzięło w nim udział 330 osób. Przyjętą na wiecu rezolucję uznano za wzorcową i powoływano się na nią w innych miejscowościach. Kolejny wiec zwołano w dniu 16 września 1906 r., a więc już po podjętym strajku.

Według „Wielkopolanina” jego przebieg wyglądał następująco:

„Zwołany do Kościana na niedzielę (16.9) wiec zagał o godzinie 4 minut 15 w zapełnionej po brzegi Sali hotelu „Victoria” p. Władysław Tomaszewski, kupiec z Kościana, staropolskim „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”. Wyłuszczywszy w kilku jędrnych słowach od serca płynących, cel zwołania wiecu przedstawił i na przewodniczącego wiecu dr. Laurentowskiego z Kościana wskazał, którego wiecownicy jednogłośnie o przewodniczenie prosili. Obejmując przewodnictwo dr Laurentowski podziękował za wybór i oświadcza, że uważa sobie za wielki zaszczyt, iż został powołany do przewodniczenia takiemu zebraniu. Na ławników wybrano p. p. Begera, Czaplickiego, Jana Wytyka z Kościana i p. p. Rolińskiego i Szczawika gospodarzy z Kiełczowa. Na początku głos zabrał duszpasterz ks. prob. Surzyński. Mowa była kilkakrotnie przerywana hucznymi, przeciągłymi oklaskami. Na wniosek przewodniczącego podziękowano trzykrotnym „niech żyje”. Następnie przemówił miejscowy kupiec p. Stanisław Augustyniak, który przeczytał dotychczasowe zapewnienia różnych władz, zawartych w traktatach m.in., iż ludność polska ze swej strony je przestrzega. W końcu złożył przysięgę: „Ja z mojej strony wobec Boga wszystko-

widzącego i wobec was zebranych rodaków przyrzekam uroczyście i ślubuję, że póki żyć będę dzieciom nie pozwolę, aby kiedykolwiek mówiły pacierz i uczyły się religii po niemiecku i ufam, że ten ślub mój i ta przysięga Bogu miła i że Bóg miłosierny tej przysięgi i ślubu dotrzymać mi pozwoli”. W czasie przysięgi wszyscy wstali i podnieśli z własnej woli ręce, powtarzając przy tem za mówcą wzruszające słowa przysięgi. Zaledwie ostatnie słowa przedmowy przebrzmiały, dozorujący komisarz policyjny z Poznania zebranie rozwiązał”.

Opis strajku w Kościanie znalazł się w „Kurierze Poznańskim” z 11 kwietnia 1907 roku:

„W Kościanie strajk wzmagają się. Dotychczas w II klasie szkoły katolickiej prawie wszyscy chłopcy mówili i pochwalali Boga po niemiecku. W poniedziałek natomiast gdy w areszcie mieli mówić pacierz wszyscy milczeli tak, iż nauczyciel sam mówił pacierz po niemiecku. Chłopiec Berkowski mówił pacierz po polsku, więc go nauczyciel wywołał i dał mu dwie „łapy” za przeszkadzanie. Gdy po areszcie mieli iść do domu, znów nauczyciel kazał mu mówić pacierz, lecz chłopcy mimo kilkakrotnego napomnienia milczeli. Na to oświadczył im nauczyciel, że będą tak długo siedzieli w szkole, aż się nie zgodzą na odmówienie pacierza i pochwalenie Pana Boga po niemiecku. Po chwili jednak zawołał „wynoście się”.

Strajk polegał m.in. na odmowie przyjęcia podręczników do nauki religii opracowanych w języku niemieckim, a także odmowie udzielenia odpowiedzi w tych sprawach i modlitwy w języku niemieckim. Pruskie władze oświatowe wobec strajkujących dzieci i ich rodziców stosowały cały szereg wymyślnych kar. Należały do nich udokumentowane wypadki bicia dzieci, zatrzymywania ich w tzw. „areszcie”, przedłużania o rok wykonywania obowiązku szkolnego, przenoszenia ich do innych szkół, odbierania rodzicom i umieszczania w ośrodkach wychowawczych, wydalania rodzeństwa ze szkół wyższych niż Volksschule. Wobec rodziców strajkujących dzieci stosowano dotkliwe sankcje ekonomiczne, jak np. kierowanie do szkół w Kościanie 5 dodatkowych nauczycieli z uposażeniem 1200 mk, których utrzymaniem obciążono rodziców. Przy ulicy Śmigielskiej wybudowano barak szkolny,

a kosztami budowy obciążono także rodziców. Rodzice strajkujących dzieci karani byli wysokimi grzywnami. Pisał o tym „Dziennik Poznański” w dniu 20 stycznia 1907 r.:

„W czwartek toczyła się w Lesznie sprawa przeciw p. Augustyniakowi z Kościana o żmudę aresztu szkolnego. P. Augustyniaka sąd ławniczy skazał na grzywnę za to, że syn jego nie był w areszcie. Przeciw temu wyrokowi złożył p. Augustyniak apelację i sprawa poszła do Leszna pod izbę Karną. Mimo świetnej i wyczerpującej obrony p. adwokata z Kościana Sąd potwierdził pierwszy wyrok”. Byli też rodzice, których zwalniano z pracy: „W tamtejszym Zakładzie dla Obłąkanych dyrekcja wypowiedziała wszystkim robotnikom, których dzieci strajkują”.

Strajk w Kościanie zakończył się 16 października 1907 r., kiedy dwaj robotnicy z Kościana nakazali swoim dzieciom wycofanie się ze strajku. O przebiegu strajku w zaborze pruskim było informowane społeczeństwo w pozostałych zaborach, a także w wielu krajach europejskich. Strajk i jego zakończenie można określić przegraną bitwą, która jednak oprócz innych wydarzeń doprowadziła do odzyskania Niepodległości. Symptomatyczne było w tych wydarzeniach także to, że odnotowano także przypadki solidaryzowania z uczestnikami części ludności niemieckiej, a wrocławska „Breslauer Gerichts - Zeitung” donosiła „O żebyśmy w Rzeszy mieli dużo takich dzieci. Jakich ludzi mogliby zrobić z nich świetli wychowawcy”.

W tym roku mija 110 rocznica tego zapomnianego, a jakże wzruszającego w swojej wymowie wydarzenia. To przecież z szeregow strajkujących dzieci wyrosli przyszli powstańcy wielkopolscy. Jeżeli dzisiaj wskazujemy na brak znajomości tego czym było Powstanie Wielkopolskie wśród ogółu Polaków, to warto zastanowić się, czy nie było to wynikiem postawy samych Wielkopolan. Czy w tym kontekście nie warto także upowszechnić wiedzę o tych wspianych, patriotycznych postawach tych najmniejszych – dziatek polskiej. Czy nie warto także mówić o tym podczas lekcji szkolnych, umieścić w centrum miasta stosownej tablicy informującej o tych wydarzeniach, znaleźć inne formy ich upamiętniania?

JAN PAWICKI

Rok 1926 w „Gazecie Polskiej” (1)

Rok XXX.

Kościan, sobota 9 stycznia 1926.

Nr. 6

Przedpłata na pocztę:
 na miesiąc 1,64 zł
 na kwartał 4,91 zł
 włącznie opłat pocztowych.
 Pod opaską w Polsce 1,90 zł mies.
 Gotówkę uprasza się nadesłać
 przekazem pocztowym.
 w ekspedycji i agenturach
 w Kościanie:
 na tydzień 40 gr, na miesiąc 1,20 zł
 Odnoszona gazeta w dom 1,50 zł.

Gazeta Polska

TELEFON 106.

Za ogłoszenia
 płaci się naprzód i to od miesiąca
 milimetrowego
 na stronie 6-linowej 6 groszy.
 Najmniejsze ogłoszenie kosztuje
 1 i pół złotego.

Adres: Kościan, województwo poznańskie.

Agentury: Mikołajski, księg. w Czempiniu i Śremie. — Klełmiński, księg. w Gostyniu, Rynek 21. Przedpłata miesięczna 1,40 zł.

Za redakcję odpowiada Władysław Hetmański w Kościanie.

Nakładem i członkami
Drukarni Spółkowej w Kościanie.

Codzienne wydanie dla wszystkich stanów.

Redaktor
Jan Urbański w Kościanie.

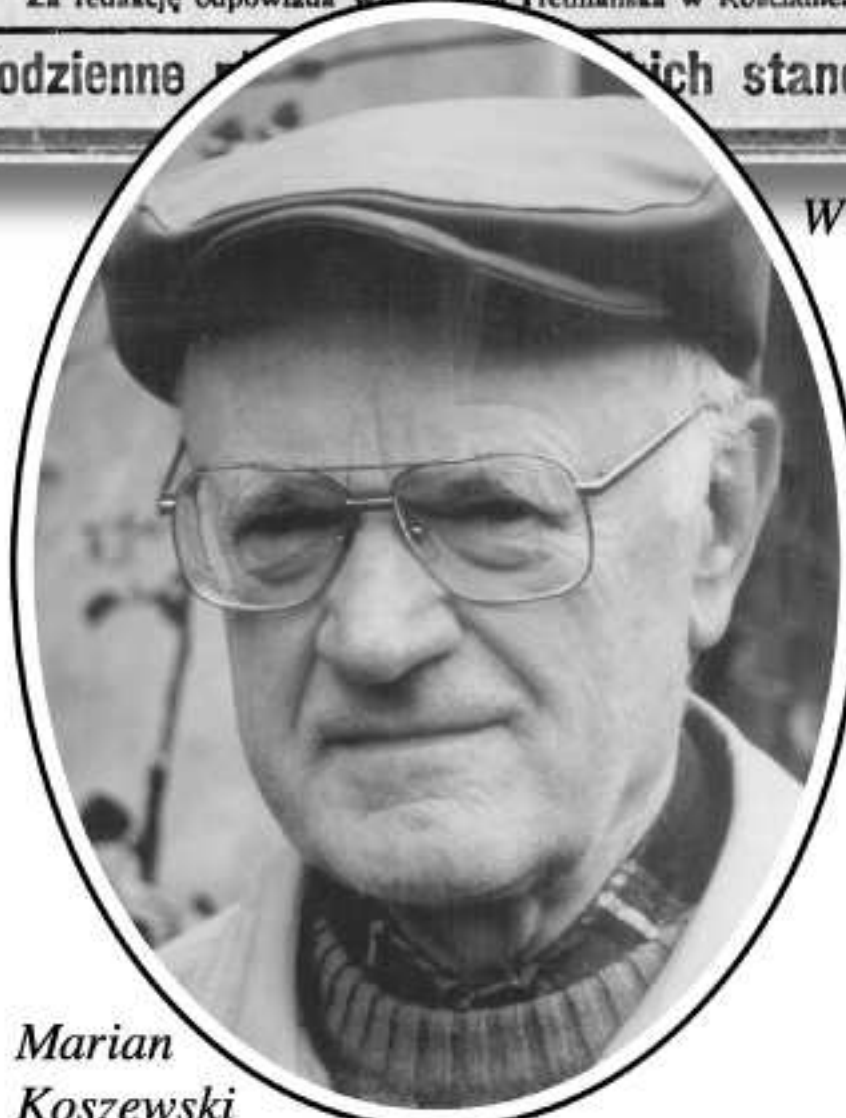
Winiетка „Gazety Polskiej”.

W zbiorach Wielkopolskiej Biblioteki Cyfrowej

Marian Koszewski, wybitny regionalista, patron Szkoły Podstawowej nr 4 i Gimnazjum nr 4 w Kościanie życie poświęcił badaniu i popularyzowaniu dziejów Ziemi Kościańskiej. Zmarł 16 października 2006 roku. Pozostały po nim nie tylko liczne publikacje, ale także stopy notatek, które gromadził, a których – niestety - nie zdążył wykorzystać. W latach 1999 – 2000 Marian z przyjaciółmi z Instytutu im. Generała Stefana „Grotę” Roweckiego z Leszna przeprowadzał kwerendę prasy w Bibliotece Uniwersyteckiej w Poznaniu. Notatki z przeglądu kościańskiej „Gazety Polskiej”, rocznik 1926, wraz z jego uwagami (zaznaczono je kursywą) stanowią treść tego artykułu. Podane w śródtytułach daty określają dzień ukazania się gazety.

13 stycznia

Kościan. Wieczorem kilkudziesięciu członków Towarzystwa Kupców i obywateli kościańskich zwiedziło miejscową Cukrownię. Pan inż. Olszewski oprowadził gości po wszystkich oddziałach i objaśnił urządzenia fabryczne. Widzieliśmy Cukrownię nowo przebudowaną krótko przed puszczeniem w bieg, a wczoraj w ruchu. Trzeba schylić czoło przed potęgą ducha inżynierów, którzy mogą tworzyć takie cuda techniki. Jeżeli zwrócimy na niektóre szczegóły, możemy już utworzyć sobie obraz o doskonałości wynalazków. Cukrownia posiada nowoczesne kotły, które potrzebują dziennie przeszło 1000 cetnarów węgla. Kotły te obsługuje tylko 2 ludzi. Węgiel idzie elewatorami w górę, rozdrabnia się i z góry w odważonych



Marian
Koszewski
(1923-2006) Fot. Bogdan Ludowicz

automatycznie ilościach przechodzi sam do pieców, które stosunkowo małą rurą doprowadzają parę do najnowszej turbiny, którą wytwarza elektryczność o takiej sile, że można by 20 Kościanów oświetlić... Od surowego buraka, który elewatorami doprowadza się do poszczególnych maszyn w 15 godzinach mamy gotowy biały cukier automatycznie odważony we workach po 100 kg. Opisać całą fabrykację mógłby tylko inżynier... Duszą całej Cukrowni jest pan inż. Olszewski, który urządził ją podług nowoczesnych wymagań o czuwa nad jej prawidłowym biegiem...

23 stycznia

Kościan. Na członków Sejmiku Powiatowego powiatu kościańskiego wybrani są: w mieście Kościanie – dr Dirbach Józef, lekarz z Kościana; Czajka Wawrzyniec, kupiec z Kościana; May Edmund, mistrz blacharski z Kościana; Kubowicz Stanisław, właściciel młyna parowego w Kościanie; Garszczyński

Jan, mistrz krawiecki z Kościana; w mieście Czempiniu – Sundmann Stanisław, rektor z Czempinia; Jezierski Antoni, inżynier z Czempinia; w mieście Krzywiniu – Czerwiński Jan, bankowiec z Krzywina; w okręgu wyborczym I – Mocek Leon, rolnik z Kiełczewa; Nowak Tomasz, rolnik z Mikoszem; Płóciński Wojciech, gościnny z Bielewka; Kurowiak Franciszek, zagrodnik z Konojadu; w okręgu wyborczym II – Fryder Czesław, rolnik z Naclawia; Szłapka Jan, nauczyciel z Racotu; Wojciechowski Józef, dekarz z Racotu; Zamelczyk Szczepan, murarz z Lubosza Starego; Śliwiński Antoni, robotnik z Racotu; w okręgu wyborczym III – Roszak Józef, rolnik z Borowa; Grajewski Antoni, rolnik z Siernik; Szukalski Stanisław – rzeźnik z Borowa; Budziński Jan, robotnik z Borowa; Mierzyński Józef, listonosz z Piechanina; w okręgu wyborczym IV – Mrug Antoni, rolnik z Jerki; Naskręt Stanisław, rolnik z Kopaszewa; Włodarczak Jan, rolnik z Maciejewa; Baranowski Józef, rolnik z Jurkowa; Fiebig Władysław, listonosz z Racotu; w okręgu wyborczym V – Szłapczyński Franciszek, rolnik z Rąbinia; Gogół Franciszek – rolnik Łągowa; Bąk Stanisław, rolnik z Dalewa; Cwojdzki Ignacy, nauczyciel z Lubinia...

* W 1926 roku istniał odrębny powiat śmigieński, stąd m.in. w podanym wykazie nie ma okręgów wyborczych Kamieńca, Śmigła i Wielichowa.

25 stycznia

Kościan. Srebrny jubileusz Towarzystwa Czytelni dla Kobiet w Kościanie. Wczoraj mieliśmy w Kościanie piękny

dzień, poświęcony 25-letniej pracy kobiet na niwie społecznej. Najpierw odbyła się rano w kościele farnym msza św., którą odprawił ks. Bednarkiewicz, a z chóru płynął piękny śpiew polski chórowy i solowy pod Tron Najwyższego, gdzie kornie chyliły się sztandary Towarzystw, biorących udział w uroczystym obchodzie. Po południu o w pół 5-tej pięknie udekorowana sala Hotelu Warszawskiego zapełniła się członkami i gośćmi. Po odśpiewaniu przez chór męski „Arion” „Gaude Mater Polonia”, przewodnicząca pani Władysława Serdelka, witając przedstawicieli duchowieństwa, władz i gości, stosownym do chwili przemówieniem, otworzyła zebranie jubileuszowe i poprosiła panią Wandę Chłapowską z Kopaszewa, aby temu uroczystemu zebraniu przewodniczyła... Towarzystwo Czytelni dla Kobiet w dowód uznania za gorliwą 25-letnią pracę w towarzystwie mianowało pięć pań honorowymi członkami. Pięknie wykonane dyplomy zostały wręczone: Anieli Bobowskiej, Marji Nowickiej, Stanisławie Wopińskiej, Pelagii Iglowej [dop. Iglowiczowej] i Marji Grzesiewskiej...

* Ks. Stanisław Bednarkiewicz urodził się 7 maja 1879 roku w Ziminie koło Środy Wielkopolskiej; święcenia kapłańskie przyjął 2 kwietnia 1905 roku; długoletni proboszcz w Kościanie, jeden z inicjatorów budowy nowego gmachu gimnazjum; aresztowany przez gestapo, osadzony w obozie koncentracyjnym w Dachau, gdzie zmarł 9 grudnia 1941 roku.

1 lutego

Kościan. Drugi cykl wykładów popularno – naukowych Koła Towarzystwa Nauczycieli Szkół Średnich i Wyższych w Kościanie. Wielka frekwencja jaką cieszyły się zorganizowane w jesieni ubiegłego roku przez Towarzystwo wykłady popularno – naukowe dowodzi, że zyskały sobie one zrozumienie i przychylność tutejszego społeczeństwa, a tem samem, że wykłady takie postawione na poważnym poziomie naukowym były w Kościanie naprawdę potrzebne. Dlatego Towarzystwo Nauczycieli zachęcone poparciem obywatelstwa, a ponadto pragnąc i nadal utrzymać z niem duchowy kontakt, organizuje drugi obszerny cykl wykładów, obejmujący swą treścią literaturę, socjologię, muzykologię,

astronomję, historię i.t.d. Do współpracy zaprosiło Koło kilku profesorów Uniwersytetu Poznańskiego m.in. Pana Prof. Znanieckiego i Pana Prof. Kamieńskiego. Z Kościana przyrzekli swój łaskawy współudział ks. Proboszcz Bednarkiewicz i Pan Dyrektor Chojecki. Wykłady odbywać się będą jak dotąd w auli Szkoły Powszechnej. Pierwszy wykład pt. stosunek poezji wieszczej (Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego) do Polski współczesnej odbędzie się już w przyszłą niedzielę tj. 7 bieżącego miesiąca o godz. 5-tej po południu. Wykład ten wygłosi profesor tutejszego gimnazjum Grebienikow. Wstęp jak dotąd 30 groszy. Dochód przeznaczony na cele oświatowe Towarzystwa.

4 lutego

Kościan. „Lutnia” odbyła w czwartek dnia 28 stycznia roczne walne zebranie, które zagał prezes ks. prob. Bednarkiewicz. W pierwszej części zebrania załatwiono bieżące sprawy orz sprawozdanie z odbytego przedstawienia „Damy i Huzary”, z czego wynika, że i sukces kasowy był poważny... Po wyczerpaniu tematu bieżącego przystąpiono do walnego zebrania. Przewodniczącym wybrano prezesa okręgowego druha Owczarczaka, który poprosił na sekretarza druha Modera... Zarząd wspólnie z dyrygentem p. Maćkowiakiem kierował sprawnie towarzystwem, za co podziękowano przez powstanie. Zebranie wybrało jednogłośnie stary zarząd, którego skład jest następujący: ks. proboszcz Bednarkiewicz, prezes; Feliks Makowski, zastępca prezesa; Leon Soborski, sekretarz; Sobiechówna, zastępca sekretarza; Franciszek Krawczyk, skarbnik; Lenart, bibliotekarz; Sobiech, zastępca bibliotekarza; Gwidon Szłapka, Kaczmarek, Kościański, Dudziak i Kamiński – radni. Zmarłych członków śp. Dr. Cybichowskiego i Aleksandra Jurgę uczczono przez powstanie. Po załatwieniu kilku drobniejszych spraw zamknął przewodniczący w obecności około 100 członków zebranie hasłem „Cześć Pieśni !”.

11 lutego

Kościan. Dawniejszy budynek szkoły powszechnej został zamieniony na dom mieszkalny, w którym mieści się obecnie 18 rodzin najuboższych. Komi-

sja odnośna twierdzi, że pomieszkania te są pod względem zdrowotnym zadawalające. Jest ubogo, ale chędogo.

15 lutego

Nekrolog. Najprzewielebniejszy nasz Arcypasterz J. E. Ksiądz Edmund Dalbor, Świętego Rzymskiego Kościoła Tytułu Św. Jana przed Bramą Łacińską Kardynał, Arcybiskup Gnieźnieński i Poznański, Legat Urodzony, Metropolita, Prymas Polski, Świętej Teologii i Świętych Kanonów Doktor, Doktor honoris causa Uniwersytetu Warszawskiego, Lwowskiego i Monasterskiego, Kanclerz Kapituły Orła Białego, Komandor Wielkiej Wstęgi Legji Honorowej zasnął w Panu po długich i ciężkich cierpieniach w 57 roku życia, opatrzony Sakramentami św., w sobotę 13 lutego 1926, o godz. 3 minut 55 rano... Jego Eminencja ks. Kardynał – Prymas dr Dalbor był dwukrotnie w Kościanie. Pierwszy raz dnia 19, 20 i 21 maja podczas wojny światowej; drugi raz dnia 4 czerwca 1923 r. już we wolnej Polsce jako Prymas razem z panem Prezydentem Rzeczypospolitej Wojciechowskim...

19 lutego

Kościan. Złodziejstwa nie ustają. Dzisiejszej nocy wszedł złodziej po raz drugi do składu pana Kokocińskiego i skradł kilka koszul oraz cokolwiek gotówki. W ostatnim czasie złodzieje odwiedzili kilku rzeźników i naszą administrację dwukrotnie [chodzi o redakcję „Gazety Polskiej” – dop. M. K.]. U nas mają złodzieje oko na szafę żelazną, w której się znajdują książki handlowe. Aby nie trudzić zbytnio panów złodziei, oświadczamy publicznie, że pieniędzy w szafie nie ma, a wstęp do naszych zamkniętych lokali jest zakazany. Jeśli przypadkowo spotka złodzieja jaki nieprzyjemny wypadek, to za to administracja nie odpowiada...

22 lutego

Kościan. W roku zeszłym Kościan zamienił dawniejsze targowisko na piękny plac Wolności. Pewien zastęp robotników dostał zatrudnienie, pieniądze nie zostały wydane na marne. Obecnie widzimy kupy piasku na promenadzie przy kanale pomiędzy Hotelem Wiktorja, a mostem na plac Wolności. Można wnioskować, że magistrat

ulepszy tę promenadę. Dotąd wszystko w porządku, ale co ma za znaczenie opłotowanie wału przy kanale w pobliżu szop miejskich, gdzie promenada schodzi się z ulicą Cmentarną? Niedawno wyglądało to opłotowanie jak śmietnik, a jest ogromną przeszkodą podczas pogrzebów, które tam tak często przechodzić muszą. Czy nie mógłby magistrat tego opłotowania usunąć i ulicę Cmentarną cokolwiek w tym miejscu rozszerzyć, a plac ten upiększyć? Byłaby to lepsza harmonia z placem Wolności i całą promenadą. Kilku robotników mogłoby tam znaleźć zatrudnienie. Dajmy ludziom pracę.

27 lutego

Nekrolog. Dnia 23 lutego zasnęła w Bogu, przygotowana na drogę wieczności ś.p. Joanna z Lossowów Alexandrowa Lossow przeżywszy lat 75. „Błogostawieni, którzy łakną i pragną sprawiedliwości albowiem oni nasyceni będą”. Cichy pogrzeb (w myśl życzenia ś.p. Zmarłej bez poprzedniego ogłoszenia) odbył się w piątek 26 lutego. Dzieci, wnuki, prawnuki. Kościan – Gryżyna, 26 II 1926.

* W „Gazecie Polskiej” nr 63 z 18 III 1926r. zamieszczono krótkie wspomnienie pośmiertne, w nim m.in.: *W dzieci swoje wpoła Zmarła zasady najlepsze. Po zgonie swego zacnego, szlachetnego męża, który przed 15 laty rozstał się z tym światem, a z którym długie i szczęśliwe lata przeżyła w idealnej zgodzie, łączności myśli i miłości, śp. Aleksandrowa Lossow prowadziła życie niemal klasztorne w swej willi „Emerytce” w Kościanie, żyjąc wspomnieniami – spragniona ciszy. Według rozmów z doktorem Florkowskim wspomniana willa została zakupiona przez lekarza dra med. Bolesława Olejniczaka, a po wojnie w 1947 roku podarowana miastu na cele społeczne. Wola dra Olejniczaka nie została spełniona – willę przeznaczono na mieszkania.*

1 marca

Naclaw. Dzisiaj rano o godz. 5 sygnały pożarne zbudziły mieszkańców Kościana. Szeroka łuna na południowej części nieba wskazywała na wielki

„APOLLO” KINOTEATR

został przeniesiony z ogrodu Hotelu Warszawskiego
w dom p. Tadeuszaka, przy ul. Wrocławskiej 18.

**Pierwsze przedstawienie odbędzie się w sobotę, dnia 20 bm.
o godzinie 7.15 i pokazany będzie polski film pod tytułem:**

CZATY.

Tragedja w 6 aktach według ballady Adama Mickiewicza.
W głównych rolach: A. Ćwikiewiczówna, Kłake Zawadzki, Halicz i inni.
Jako wkładkę dajemy:

Pogrzeb śp. Kardynała Dalbora i eksplozja gazowni w Poznaniu.

W niedzielę po nieszporach początek o godz. 5 po poł.
W poniedziałek o godz. 4 po poł. dla młodzieży szkolnej.

O liczny udział prosi **Dyrekcja.**

Reklama kina w „Gazecie Polskiej”.

W zbiorach Wielkopolskiej Biblioteki Cyfrowej

pożar. Okazało się później, że paliły się równocześnie w Naclawiu stodoła gospodarza Okoniewskiego i kilkaset metrów dalej położony do mieszkalny wdowy Cecylji Korbik. Z domu wiele sprzętów uratowano, stodoła zaś częściowo zapełniona oraz maszyny rolnicze spaliły się doszczętnie. Przyczyna pożaru nie jest znana, lecz domyślać się można podpalenia. Wskazuje na to ta okoliczność, że dwa daleko od siebie położone budynki równocześnie się zapaliły.

15 marca

Kościan. Roczny Walny Zjazd Rady Okręgowej Sokoła odbył się wczoraj w Strzelnicy w Kościanie. Obrady zagał prezes druha Stefan Soborski, witając delegatów i gości oraz przedstawicieli władz cywilnych, wojskowych i prezesa dzielnicowego dh. A. Wolskiego, skarbnika dzielnicowego dh. Kępińskiego i dh. Alejskiego z naczelnictwa dzielnicowego w Poznaniu. Po odczytaniu protokółów i komunikatach Zarządu wybrano przewodniczącym Walnego Zebrania druha Starostę Cegiełkę, który powołał do pióra druha St. Jankowskiego. Nastąpiły sprawozdania sekretarza, skarbnika, naczelnika i komisji rewizyjnej.

Wynika z nich, że Okręg kościański liczy 27 gniazd i 1170 członków – 4 miejskie i 23 wiejskie gniazda. W roku 1925 założono 9 nowych gniazd wiejskich... Do nowego Zarządu zostali wybrani druhowie: Stefan Soborski z Kościana, prezesem; Ed. Cieślewicz ze Zmysłowa, I wiceprezesem; Wł. Pioch ze Śmigła, II wiceprezesem; Maćkowiak z Krzywina, Fr. Stróżyk, St. Jankowski, Fr. Trzybiński, K. Zawieja, Fr. Olek, Cz. Gałęcki, wszyscy z Kościana; St. Apolinarzski ze Starego Bojanowa, Fl. Szulc ze Śmigła; Jan Wypych z Czempinia i Kluczyński z Jerki. Sąd honorowy tworzą druhowie: dr. Dirbach, Starosta Cegiełka, red. Urbański, W. Matuszewski z Kościana; Cwojdzński z Lubinia; Łukomski ze Śmigła. Delegatami do Związku wybrano druhowa Piocha ze Śmigła i St. Soborskiego z Kościana. Komisja rewizyjna: druha Tadeuszek, Matuszewski i Menzel... Po wolnych głosach przewodniczący zamknął zebranie po 3 godzinnych obradach w obecności 33 delegatów, którzy reprezentowali 22 gniazda. (cdn)

MARIAN KOSZEWSKI

Chcieliśmy być twardzielami

Byłem zastępowym „Rosomaków”, wybraliśmy je, bo to odporne, silne i twarde zwierzęta, a my także chcieliśmy być twardzielami. Co prawda, wtedy nie wiedziałem jak one wyglądają, wypchanego rosomaka zobaczyłem dopiero w muzeum w Uzarzewie – opowiada Zbigniew Podeszwa, przed wojną uczeń Gimnazjum Jana Kantego w Poznaniu, harcerz 21 Drużyny Harcerskiej im. Tadeusza Rejtana, obecnie przewodniczący Stowarzyszenia „Szarych Szeregów w Poznaniu.

Uczniem tego słynnego gimnazjum był Florian Marciniak, drużynowy 21 Drużyny Harcerskiej, późniejszy pierwszy naczelnik konspiracyjnego harcerstwa „Szare Szeregi”. Zbigniew Podeszwa był jego podkomendnym. Obok Marciniaka znał dobrze jego zastępcę i wychowawcę na obozach harcerskich - Władysława Cieplaka.

- Marciniak był komendantem tylko jednego obozu, na którym byłem, to jest w Kolnie koło Międzychodu. Poza tym był wtedy studentem starszym od nas o dziewięć lat, a to był ogromny dystans wiekowy. Bardzo energiczny i krótki, budził nasz respekt i szacunek. Na obóz w Janowej Dolinie – dzisiaj Ukraina, załatwił prowiant z banku cukrownictwa, gdzie pracował, chyba ze 100 kg cukru. Prawdziwy komendant. Z Władysławem Cieplakiem, prawą ręką Marciniaka, miałem bliższy kontakt. Chętnie go wspominam, to był taki morus, miał duży i pozytywny wpływ na nasze charaktery. Od nich obu przejęliśmy harcerskiego ducha i harcerskie ideały.

Zaklinanie rzeczywistości

W 1939 r. harcerze z kilku poznańskich gimnazjów pojechali do Rumunii jako reprezentacja harcerstwa polskiego. W tym czasie Marciniak był już instruktorem w komendzie chorągwi, rok wcześniej został najmłodszym harcmistrzem w ZHP. Krótko przed wybuchem wojny z Franciszkiem Firlikiem utworzyli w Poznaniu Wojenne Pogotowie Harcerzy. Potem dotarł do Warszawy, by objąć funkcję komendanta „Szarych Szeregów”, Podeszwa więcej go nie spotkał. Kilka dni przed wybuchem wojny harcerze z pracownikami starostwa pełnili 24-godzinne dyżury na stacji pogotowia



Bohater reportażu w 1945 roku
Fot. w zbiorach Zbigniewa Podeszwy

na Fredry; przewozili rannych i chorych na naprędce urządzonych noszach a'la riksza do szpitala np. na Polnej.

- W wolnej chwili urzędnicy zaklinali rzeczywistość, że niemieckie czołgi są tylko atrapami, a ludzie w Niemczech klepią biedę, nie mają, co jeść, więc wojna nie potrwa długo. Takie mieli widzenie sytuacji. My patrzyliśmy w niebo, widzieliśmy odlatujące bociany i nadlatujące z hałasem junkersy. W poniedziałek otrzymaliśmy rozkaz likwidacji placówki. Ojciec był kolejjarzem, pracował w kasie stacyjnej na Dworcu Zachodnim, wypłacił trzykrotne pensje kolejarzom i ewakuowaliśmy się w kierunku Warszawy. Cywile w osobowych wagonach, plus towarowy z pieniędzmi dla kolejarzy, którzy mieli dołączać do nas po drodze.

Przed Wrześnią pociąg stanął, zbombardowane tory uniemożliwiały dalszą podróż. Kilku ochotników wskoczyło na parowóz, w tym Zbigniew Podeszwa i pojechali naprawiać tory. Nadlatujące sztukasy wyгнаły ich do pobliskich prowizorycznych schronów. Zakonnik, który był z nimi, nie wytrzymał nerwowo świstu nurkującego samolotu i wybiegł na zewnątrz. Nikt nie wie, co się z nim stało. Po naprawieniu torów ruszyli w dalszą podróż. Przed Słupcą przeżyli kolejny nalot, tym razem Dornierów.

- Zrzucili na nas małe bomby zapala-

jące, siekli z karabinów maszynowych. Od bomby zapalił się wagon z pieniędzmi. Wtedy przenieśliśmy się z częściowo uratowanymi pieniędzmi na wozy konne, zdołaliśmy nawet załatwić dwóch policjantów do konwojowania. Nie było chaosu ani paniki. Ojciec miał rower, który jakiś złodziej próbował podprowadzić, ale dogonił go i odebrał. Jechałem nim trzymając się wozu, bywało, że zasypiałem i jak koło trąciło wóz, to się budziłem. Przeważnie jechaliśmy nocami. Tak dojechaliśmy do Sochaczewa. Było opustoszałe.

Za miastem wojsko zagroziło drogę wygnańcom, wskazało kierunek na Wyszogród. W majątku Łazy przenocowali, a potem parli dalej na Puszcę Kampinoską.

- Ojciec, który jako harcerz i drużynowy 10 drużyny harcerskiej, nie palił, wtedy z nerwów zaczął. Jak to się skończy, to rzucę – zapewniał. Wojna minęła, a on dalej palił. Na nasze nagabywanie, kiedy przestanie, odpowiadał: - A traktat pokojowy podpisano? Taka była rozmowa.

Drogę zagroziło nam niemieckie wojsko, zarekwirowało pieniądze, ale za pokwitowaniem. Przestrzegło przed jazdą do Warszawy, bo oblężona, a pod Kutnem toczyły się ciężkie walki. Przy okazji wygłosili dużo pochwał o waleczności naszego wojska.

Gorące głowy

W Poznaniu Zbigniew Podeszwa próbował znaleźć rozproszonych „Rosomaków”: - Szukałem kolegów, ale to były gorące głowy, aż palili się do działania. Harcerstwo im nie wystarczyło, przyłączyli się do Wojskowej Organizacji Ziem Zachodnich kapitana Leona Kmotka. Niestety, źle się to dla nich skończyło. Bardzo szybko gestapo ich rozpracowało. Kpt. Kmotka i Władka Harmatę stracono we Wrocławiu. Matka Harmaty oszalała z rozpaczy. Edmund Piechowiak zmarł na gruźlicę w więzieniu we Wronkach. Zdzisław Larek zginął zesłany do obozu koncentracyjnego w Gusen. Gdyby dotarli do mnie, na pewno bym się zapisał i nie rozmawialibyśmy dzisiaj.

Zatrudnił się w fabryce skrzyń na drodze Dębińskiej. Ryszarda Żuchowskiego i Szmyta wciągnął do konspiracyj-

nych „Szarych Szeregów”. Chłopcy obchodzili święta narodowe, uczyli się języka wroga czyli niemieckiego. Na horyzoncie pojawił się ich kolega Edmund Storczyk. Miał już wówczas powiązania z konspiracją w Gimnazjum Marii Magdaleny. Został ich zastępowym. Z podręcznika szkolenia piechoty uczył ich dyscypliny wojskowej. Przez to gimnazjum nawiązali kontakt z profesorem Latawcem, który na tajnych kompletach wykładał historię i polski. Spotykali się u państwa Hoffmannów na Szamarzewskiego. To była wybitna, sportowa rodzina. Karol Hoffmann, sportowiec, przed wojną prowadził gimnastykę w polskim radiu, a jego brat Marian był słynnym lekkoatletą. Po wojnie Latawiec, jako wizytator oświatowy, odbierał od Podeszwy maturę, właśnie w gmachu liceum Kantego.

W marcu 1945 r., natychmiast po uruchomieniu Liceum im. Karola Marcinkowskiego, Podeszwa poszedł się zapisać do szkoły. Przed wojną zdążył ukończyć 3 klasy gimnazjum. Miał już 21 lat. Koniecznie chciał nadrobić stracony czas.

- Sowiecka wojenna komendantura miasta ciągle przenosiła siedzibę szkoły, z Jarochońskiego, bo planowano utworzyć szpital wojskowy, na Młyną, potem na Matejki, Różaną. Zbuntowaliśmy się i zbudowaliśmy „wóz Drzymały”, uformowaliśmy pochód, ruszyliśmy przez miasto jako pierwsze wędrownie liceum w Poznaniu. Nauczyciele byli przerażeni naszym buntem.

Ale nie tylko nauka była im w głowie, w wojnę nie powalczyli, więc bardzo chcieli dorwać się do broni. W lutym 1945 r. Storczyk, Łopatka i Podeszwa postanowili wstąpić do Służby Ochrony Kolei, bo tam były karabiny. Z mauserami pełnili służbę przy ochronie pociągów repatriacyjnych, patrolowali rejon od Łazarza do Wildy oraz Śródmieście aż do nastawni przy Libelta. W nocy służba, w dzień szkoła. Tymczasem w kwietniu na horyzoncie pojawił się Bolesław Rubaszewski, opowiadał o drugiej konspiracji, radził żeby się nie ujawniać, tylko kontynuować opór. Grupa szaroszerogowców została zaprzysiężona do nowej organizacji. Postawili na działanie propagandowe; prowadzili nasłuch audycji z Londynu, wydawali gazetki. Nazwali się szumnie Organizacją Polskich Sił Zbrojnych w kraju. Już w sierpniu 1945 r. wpadli.



Druh Podeszwa w styczniu br. przekazuje kroniki Stowarzyszenia Szarych Szeregów pracownicze Biblioteki Raczyńskich

Fot. Teresa Maślowska

- Ktoś musiał się wygadać. Swoją drogą takie były z nas chojraki, że gazetki nosiliśmy do Polskiej Agencji Prasowej, a oni lecieli z nimi prosto do UB, poprzez znajome dziewczyny próbowaliśmy werbować żołnierzy I Armii WP. Przyjechali po mnie w nocy, zrobili kipisz, ale nie znaleźli egzemplarza gazetki schowanej w koszu z podwójnym dnem. Po więzieniu włożyłem ją w rurę od szpitalnego łóżka. Dałem ją potem Oleszyńskiemu, który wprowadził ją odrestaurował, ale ja dostałem tylko marne ksero, bo z kolei Storczyk przekazał egzemplarz do Biblioteki Raczyńskich.

Pod celą

Trzymali ich w piwnicy na Kochanowskiego – siedzibie Urzędu Bezpieczeństwa w Poznaniu. Dzięki wielkopolskiemu zamiłowaniu do porządku, prawdopodobnie u Oleszyńskiego znaleźli spis członków organizacji. I tak dotarli także do Storczyka, Łopatki i Szymta.

- Na Kochanowskiego można było wytrzymać, chociaż kazali żabki robić, siadać na nodze od krzesła. Za to w areszcie na Młyńskiej było strasznie; zarobaczone koje, rano wstawaliśmy cali pogryzieni, z niegojącymi się ranami. Spaliśmy nakryci ręcznikami, bo pchły i pluskwy spadały nam prosto na twarz. Podobno Amerykanie przysłali proszek DDT, nasypali nam za kołnierz i w jednej chwili robactwo znikło. Siedzieliśmy z kryminalistami, ale udało nam się zaprowadzić porządek. Wieczorem odmawialiśmy modlitwę, za to jak oni dębali dziurę

w suficie, żeby się wydostać, my nic nie widzieliśmy. Nie wchodziliśmy sobie w drogę.

Wspólna rozprawa młodych konspiratorów odbyła się na Młyńskiej. Nie dano im zapoznać się z zarzutami, nie przydzielono obrońcy. Oskarżono o próbę obalenia demokratycznego ustroju państwa polskiego. Posypały się wyroki. Bolesław Rubaszewski dostał 10 lat, Henryk Oleszyński, prawa ręka Rubaszewskiego 7 lat, Edmund Storczyk 5 lat, Zygmunt Łopatka, Ludwik Szymt i Władysław Józefowski po 3 lata, Podeszwa 2 lata. Nie wszyscy odsiedzieli swoje, ale spuśćmy na to zastłonę milczenia.

- Na spacerze ktoś szepnął, że wznawiają rozprawę Rubaszewskiego, bo wyrok nie spodobał się Prezesowi Wojskowego Sądu Okręgowego. Major Władysław Garnowski, były żołnierz Armii Krajowej, miał na rękach krew swoich dawnych towarzyszy broni. Po ponownym procesie Rubaszewskiego skazano na karę śmierci. Został stracony, do dzisiaj nie wiemy, gdzie jest jego grób. Podobno skazanych ubierali w niemieckie mundury, a po wykonaniu wyroku, grzebali na Cytadeli. Czy tak było? Nie wiem.

Po wyroku przewieźli ich do Wronek. Na przywitanie kazano im rozebrać się do naga, pryszcic i do celi. Podeszwie udało się przemycić maleńki nóż zrobiony z drewna. Nie narzeka, nie ma w nim nienawiści, ale czas w więzieniu to nie były wakacje.

- Nieraz podpadłem; odsiedziałem swoje w karczerze i na twardym łożu bez koca, a kończyłem w pojedynczej celi, gdzie przykrywałem się siennikiem leżąc na gołych deskach, nabawiłem się wtedy okropnego reumatyzmu. Ukarano mnie, bo przypadkiem przy zamykaniu okna zbiłem szybę. Pod nami siedzieli oficerowie Armii Krajowej, często słyszeliśmy jak śpiewali, buntowali się. Strażnik powiedział kiedyś do nas: - Słuchajcie, czytam na drzwiach; Storczyk, Łopotka i Podeszwa, chyba mi nie wmówicie, że to są wasze prawdziwe nazwiska. To był porządny chłopak, potem dowiedziałem się, że go oskarżyli o współpracę z tymi Akowcami. Udało nam się, że siedzieliśmy razem w celi. Wronki wydawały się azylem w porównaniu z Młyńską. Dokucał nam jednak brak spacerów, prawie nie wychodziliśmy na powietrze. Jedzenie było podłe, tylko w święta dostawaliśmy obiad z dwóch dań, normalnie tylko cienką zupę. Doszliśmy do takiej wprawy, że po odgłosie chochli w kotle poznawaliśmy czy będzie ogórkowa, czy z brukwi. Tylko paczki z domu ratowały sytuację. Matka cierpliwie je przywoziła.

Więzienie przyjmował ze stoickim spokojem, najbardziej żałował, że nie może się uczyć, z więziennej biblioteki wypożyczał wszelkie dostępne książki. 8 marca 1947 r. na podstawie amnestii wyszedł na wolność. W 1992 r. unieważniono wydany na niego wyrok.

*

Na zakończenie rozmowy druh Podeszwa powiedział mi taką historię: - Niemcy wkroczyli do Poznania, a my nadal chodziliśmy w mundurkach. Capnęli nas i zmusili do rozbiórki pomnika Wdzięczności Chrystusa Króla na placu Mickiewicza. Cały dzień przenosiliśmy kamienie na drugą stronę ulicy i składaliśmy za akademią muzyczną. Ta okupacja była nieporównywalna z zaborem pruskim, o którym opowiadał ojciec. Należał wówczas do Hufca Zorza na Wildzie, harcerze swobodnie chodzili w mundurkach, w Sylwestra tańczyli wokół policmajstra patrolującego ulicę. Jak Niemcy wkroczyli we wrześniu '39 ojciec, jako były żołnierz armii pruskiej, odezwał się dosyć ostro w urzędzie i Niemiec go spoliczkował. To że nas zmusili do rozbierania pomnika, tak nas rozeźliło, że postanowiliśmy za wszelką cenę przeciwstawić się okupacji.

TERESA MASŁOWSKA



Prof. Helena Tadeuszak 1909- 1982 (III)

Gimnazjum i Liceum w Kościanie 1945-1949

Po wojnie Helena Tadeuszak wróciła do Kościana i już w marcu 1945 roku podjęła pracę w Gimnazjum i Liceum im. S. Kostki jako nauczycielka matematyki. Wspólnie z innymi przedwojennymi nauczycielami podjęła się dzieła odbudowy podstawowych funkcji szkoły. Powróciła również do działalności harcerskiej – w Kościanie zorganizowała Hufiec Harcerk, a w Komendzie Chorągwi pełniła do 1949 roku funkcję zastępcy komendantki Chorągwi. Od stycznia 1950 roku była członkiem Komisji Historycznej Chorągwi Poznańskiej ZHP. Kiedy w 1949 roku władze komunistyczne zakazały funkcjonowania drużyn starszoharcerskich, wycofała się z działalności harcerskiej aż do 1957 roku, kiedy nastąpiło odrodzenie ZHP.

W latach 1945-1949 pełniła funkcję zastępcy dyrektorki szkoły, którą kierowała wówczas jej przedwojenna nauczycielka gimnazjalna Jadwiga Kreutzinger. Pomimo niedostatków radosny i spontaniczny nastrój pracy szkoły w pierwszych latach powojennych stopniowo ulegał zmianie, co doskonale ilustruje zapis przebiegu różnych uroczystości oficjalnych w



Prof. Helena Tadeuszak (* 1909, † 1982).
Oryginał w zbiorach Kazimierzy Ruszkiewicz

ówczesnej Kronice szkoły, prowadzonej przez Prof. Klemensa Kruszewskiego.

Helena Tadeuszak jest odpowiedzialna za przygotowanie wielu uroczystości rocznicowych, w czym pomocne okazują się jej umiejętności organizacyjne. Tak jak przed wojną przygotowuje układy tańców narodowych i regionalnych dla zespołów tanecznych działających w szkole. Jako opiekunka koła PCK jest współorganizatorką wieczorków tanecznych i koncertów dla mieszkańców miasta, ale również bierze udział w organizacji podniosłych uroczystości szkolnych i miejskich. Taki charakter miał w dniu 7 listopada 1945 roku, uroczysty, symboliczny pogrzeb pomordowanych podczas wojny mieszkańców Kościana. Ich szczątki złożone zostały w Mauzoleum, a w kondukcie żałobnym wzięła udział cała społeczność szkoły, przede wszystkim drużyny harcerskie, a także tłumnie przybyli mieszkańcy Kościana.

Dla Heleny Tadeuszak był to czas wyczerpanej pracy organizacyjnej. Wraz z młodzieżą prowadziła zbiórki darów, przygotowywała paczki dla ośrodka ociemniałych w Głuchowie i dla rannych żołnierzy przebywających nadal w szpitalach. Początkowo w latach 1945-1947 uroczystości posiadały jeszcze wyraźną oprawę religijną,

działa drużyna harcerska i Sodalicja Mariańska, Helena Tadeuszak współpracuje z prefektem ks. Abramowiczem przy organizacji święta patrona szkoły św. Stanisława Kostki, odbywają się wspólne nabożeństwa z udziałem młodzieży i nauczycieli.

O atmosferze pierwszych powojennych lat napisały w swoich wspomnieniach siostry Aniela i Teresa Walter – absolwentki Gimnazjum i Liceum (matura 1947):

„Któregoś dnia, w czasie przerwy Telimena podeszła do mnie i mówi, że pani dyrektor prosi mnie do siebie. W czasie długiej przerwy idę. Pani dyrektor siedzi za biurkiem, obok stoi przejęta Telimena. Na twarzy pani dyrektor widzę „marsa”, myślę co mogło się stać? Wreszcie słyszę: - Dziwisz się zapewne, po co Cię wzywam. Otóż chciałam Cię prosić, abyś nie wychodziła za mąż za Edzia [Edward Schultz, wykładowcą języków klasycznych – przyp. autorki]. Talimena zamrugawszy wydała z siebie cichym głosem: On jest typowym starym kawalerem, obiera jabłko nożem i parzy sobie ziółka. Pewnie nawet nie zrobiłam głupiej miny, ponieważ wydało mi się to tak absurdalne i takie komiczne, że parsknęłam śmiechem.

- Tak cię to śmieszy? - zapytała pani dyrektor.

- Ależ tak, ponieważ nigdy o czymś takim nie myślałam.

- No, to dobrze - powiedziała.

Wiele lat później dowiedziałam się, że nasz drogi Edziu darzył mnie sympatią.

Przywołując szczęśliwe wspomnienia kościańskie nie sposób pominąć zdarzenie z 1946 roku. Był maj. Piękna słoneczna pogoda, a ja znów zachorowałam na anginę. Tymczasem obie klasy, matematyczno-fizyczna, której wychowawczynią była Telimena i nasza – humanistyczna postanowiły iść na węgry. Pozabierali szkolne tobołki i przed pierwszą lekcją czmychnęli. W szkole zrobił się wielki raban. Zawrzało. Następnego dnia uciekinierzy, w tym oczywiście moja siostra Teresa, jakby nigdy nic, zjawiają się w szkole. Tymczasem woźny Jezierski stoi w drzwiach i ogłasza im, że mają wstęp do szkoły wzbroniony i jutro pani dyrektor oczekuje rodziców. Oczywiście zjawili

się wszyscy łącznie z naszą mamą. Pani dyrektor z wielkim oburzeniem wygłosiła mowę o szarganiu dobrego imienia szkoły, o lekceważeniu nauczycieli i tym podobne... Po jej dwóch stronach stali Talimena i Edziu, czerwoni, lecz na ich twarzach zamiast złości widzieliśmy zawód i głębokie rozczarowanie... Na całe szczęście, że na zebraniu pojawił się mecenas Brandowski, ojciec naszego kolegi Freda, który adwokackim stylem, przedstawił sprawę jako niewinny zryw młodzieńczy, wywołany wrażliwością na piękno natury i wyjątkową pogodę...

Telimena opiekowała się w latach 1946-1947 uczniowskim kołem PCK, organizowaniem pomocy naukowej i materialnej dla potrzebujących, żywo angażując nas w prace tych organizacji.” (Aniela Walter-Lehman)

„Panią Profesor Helenę Tadeuszak „Telimenę” znaleźmy bardzo dobrze. Dla nas szkołę przede wszystkim stanowili wychowawcy dwóch klas: matematyczno-fizycznej – Telimena i Edziu – Edward Schultz, wychowawca klasy humanistycznej. Trzeba przyznać, że w roczniku maturalnym’ 47 byliśmy z nauczycielami bardzo zżyci. Telimena była osobą cichą, spokojną, z rzadka ulegającą emocjom. Była jednak bardzo zaangażowana w nasze sprawy i życie codziennie. Dbała o kontakty z rodzicami, starała się poznać otoczenie ucznia i trudności z jakimi się zmagają. Uczyła matematyki, której my w klasie humanistycznej nie kochaliśmy najmocniej. Rozumiała to bardzo dobrze i po przerobieniu najważniejszej partii materiału, pozwalał sobie na dłuższe i krótsze pogawędki dotyczące spraw bieżących. Ponieważ mieszkała niedaleko kina często omawiała z nami aktualny repertuar prezentując swoje recenzje. Pamiętam jak w 1947 roku, jakimś cudem do Kościana dotarł amerykański film „Listonosz zawsze dzwoni dwa razy”, czekaliśmy na jego premierę z wypiekami na twarzy. Czar prysł gdy Telimena opowiedziawszy nam całą fabułę podsumowała – Serdecznie odradzam wam ten film, jest zdecydowanie nieodpowiedni dla Was i przynieść może więcej szkód niż przyjemności.

Negatywne zdanie miała również o osobach przesiadujących w kawiarniach,

a my młodzi tak bardzo chcieliśmy się czuć już ludźmi dorosłymi (w sensie duchowym, bo w klasie rozstrzał wiekowy był w latach 1945-1947 dość duży). Do kawiarni wejść można było dopiero po maturze.

Za najważniejsze należy uznać to, że Telimena i Edziu czuli za nas zawsze odpowiedzialni, gotowi byli służyć nam pomocą i życzliwością nawet wiele lat po ukończeniu przez nas szkoły. Serdeczne, bliskie kontakty utrzymywaliśmy z nimi aż do ich śmierci. Należy życzyć dzisiejszym wychowankom Kolberga takich nauczycieli, choć dziś świat wygląda zupełnie inaczej”. (Teresa Walter-Pukianiec)

Sytuacja zmieniła się diametralnie już w 1948 roku, kiedy to na terenie Gimnazjum, mającego u lokalnych władz politycznych oraz Urzędu Bezpieczeństwa opinię nazbyt klerykalnego, rozpoczęło się powoływanie do życia organizacji masowych o charakterze ideologicznym, takich jak: OMTUR, ZWM, TPPR i czy „Służba Polsce”. Miały stanowić przeciwwagę, w stosunku do harcerstwa i Sodalicji Mariańskiej, funkcjonujących na terenie gimnazjum pod okiem Heleny Tadeuszak, obojga Kruszewskich i ks. Abramowicza. Rozpoczęło się od obowiązkowego świętowania rocznic, m.in. utworzenia Armii Radzieckiej, bitwy pod Lenino, oswobodzenia miasta, odbywały się częste akademie np. ku czci Lenina „Geniusza Rewolucji”, Karola Świerczewskiego. Rotę śpiewaną podczas akademii jeszcze w 1947 roku coraz częściej zastępowano Międzynarodówką, na akademiach organizowanych przez aktywistów wspomnianych organizacji pojawiały się deklamacje wierszy polskich i rosyjskich poetów rewolucyjnych.

Niespodziewanie 1 kwietnia 1949 roku ze stanowiska dyrektorki usunięta została Jadwiga Kreutzinger, oficjalnie odchodząca do Kuratorium, której miejsce zajął Józef Wybieralski. W końcu roku szkolnego szkołę opuścił również prefekt ks. Abramowicz, przeniesiony do Ostrzeszowa, a na własną prośbę odeszła Helena Tadeuszak, przenosząc się do równorzędnej szkoły w Krotoszynie, zarazem wskazując jako swoją następczynię Ludmiłę Klaus.

Wspomnienie Marii Wojciechowskiej, z d. Rysmann – absolwentki Liceum w Kościanie (matura 1952) dotyczy tego przełomowego dla szkoły okresu:

„Z panią prof. Tadeuszak znałam się tylko z harcerstwa. Lekcji z nami nie miała. Jako harcerka była dla nas nie tylko druhną, ale prawdziwą opiekunką, szczególnie dla dziewcząt klas VIII (wtedy pierwszych), które wyszły z domów rodzinnych oddalonych nieraz o 20 km. W gwarze uczniowskiej była to pani Telimena. O swoim mianie wiedziała, ale jej to nie gniewało. Jak już zbyt długo słyszała owe Telimena, to z pełnym uśmiechem pytała: Czy wiesz kto to była Telimena? Odpowiedzi były różne w zależności od wiedzy i umiejętności wypowiedzania się „nowego” ucznia w szkole. W tym czasie dla wielu z nas wszystko było nowe. Zaczynaliśmy w roku 1948, a więc prawie zaraz po wojnie. Byliśmy pierwszym rocznikiem jedenastolatki.

Kiedy oceniam te lata dzisiaj, to wiem, że mieliśmy kłopoty i my i nasi nauczyciele. Wielu z nauczycieli znalazło się w bardzo trudnej sytuacji życiowej. Te wszystkie nagłe zmiany ideologiczne, brak odpowiednich podręczników, nowe wymagania od nauczycieli, różny wiek uczniów, to wszystko sprawiło wiele kłopotów zarówno osobistych, jak i zawodowych. Mam wrażenie, że te sprawy stały się przyczyną tego, że prof. Tadeuszak, tak szybko opuściła naszą szkołę. Później już nigdy nie dane nam było się spotkać. W tym samym czasie opuścił naszą szkołę ks. prof. Abramowicz. Gdzie poszła nasza drużyna nie wiedzieliśmy, bo i drużyna się rozpadła. Ks. Abramowicza znaleźliśmy w Ostrzeszowie i tam napisaliśmy długi błagający list. Odpowiedź otrzymałyśmy równie obszerną. Szczególnie zapamiętałam jedno zdanie: opuściłem umiłowaną pracę w szkole nagle i niedobrowolnie. Wiem, że i z naszą Komendantką tak było, ale to już zostało tylko w pamięci.

VIOLETTA JULKOWSKA

Nota bibliograficzna:

Opublikowany fragment pochodzi z wydanej staraniem Stowarzyszenia Absolwentów Gimnazjum i Liceum w Kościanie pracy: V. Julkowska, Prof. Helena Tadeuszak 1909-1982, Kościan 2014.

Wojenne zapiski Cecylii (1)

Dziennik z 1939 roku pisany w Warszawie w domu na Zakopiańskiej 4 /Saska Kępa/ przez Cecylię Żółtowską¹.

24/VIII czwartek. Powołany został do wojska Marceli². Razem z nim wyjechała z domu Mama i Różia z dziećmi³. Mama przyjechała do mnie wieczorem. Różia do hotelu i nazajutrz odwiozła dzieci samochodem do Kocka⁴.

25/VIII piątek. Otrzymałam wiadomość, że mnie mianowano komendantem bloku⁵.

26/VIII sobota. Cały dzień od 8 rano z każdego mieszkania w moim bloku przeznaczałam jedną osobę do kopania schronów.

27/VIII niedziela. Zjawił się rano Marceli, jechał 24 godz. z Leszna⁶ z transportem wojskowym do Kraśnika, gdzie stanie kadra. Dostał pozwolenie dogonienia transportu później – Był 48 godz. i doczekał się powrotu Rózi z Głuchowa, dokąd pognęła z Kocka po Joanię⁷.

29/VIII wtorek. W południe żegnaliśmy Marcelka, który jeszcze miał nadzieję, że do wojny nie dojdzie!

Wieczorem ostre pogotowie przeciwlotnicze z wiadomością, że ogólna mobilizacja już zarządzona.

31/VIII 31 czwartek. Ogólna mobilizacja. Komunikacja miejska normalna. Sklepy otwarte – żywnościowe przepełnione, inne puste.

1/IX piątek 8.45. Pierwszy nalot. Bitwa w powietrzu bez strat dla miasta



Autorka zapisków Cecylia Żółtowska.
Fot. w zbiorach rodzinnych

godz.16.40. Silny nalot, recydywa mnie zastała na Wachockiej /?/. Odłamki sypały się koło tej bramy jak groch.

2/IX sobota. Dalsze ataki i kanonada głównie w powietrzu.

3/IX [niedziela]. Anglia o 11-tej rano wypowiedziała wojnę Niemcom. Nadzieja, że zaraz Niemcy stracą courage /kuraż/ do ataków lotniczych i ofensywy na Polskę. Naloty tego dnia słabe.

4/IX poniedz. O 16-tej posiedzenie Czerwonego Krzyża Paryska nr 37. Pierwszy gwałtowny atak lotniczy, bomby i gazowy – Pożar na Grochowie przerażenie. Ludność na noc ucieka z Grochowa i do Wwy i trasami w głąb kraju. Duże straty też we Włochach.

5/IX wtorek. O 3-ciej rano ewakuacja rządu i urzędów z Wwy – po cichu! Reakcja publiczności i początek ogólnej ucieczki z Wwy. Dalsze naloty wieczorem wyjechali Starzewscy chłopskim wozem. Pozostawili mi papiery i troskę o ich dom. Wzajemnie zakomunikowaliśmy sobie treść naszych testamentów – Stawiliśmy sobie wzajemnie do dyspozycji gotówkę disponible, wzajemnie podziękowaliśmy /?/ z odmową korzy-

stania z pozwolenia – u mnie ostra depresja. O północy fałszywe wiadomości o poprawie sytuacji i nadzieje oparte o wiadomości, że przyjechało 8 pościgowców angielskich.

6/IX środa. Ostatni raz byłem w sklepie. Poprzedniego dnia kazałam kasjerce przynieść kasę ukrytą u niej i wypłaciłam zarobki wrześnie wszystkim. Personel wystraszony. W mieście ogólne wyjeżdżanie wozami i wózkami, autami i motocyklami z pierzynami i całym dobytkiem. Nastrój przynębiający dla tych, którzy nie mają znajomości ani środków lokomocji ani finansowych by uciekać. Ja byłam zdecydowana zostać w każdym wypadku, mimo że już się liczyliśmy z przyjściem Niemców. Wynieśliśmy ze sklepu do pochowku/?/ w podwórzu wszystkie wełny ubraniowe i wystawiliśmy same wyroby lniane. Szalony atak bombowy - głównie na most Kierbedzia – pożar na południe od Saskiej Kępy – mój strach, że u mnie. Drugi moment depresji.

7/IX czwartek. O 4-tej rano telefon pryw. /Niunia Strzałeczka⁸/ i radio, że mężczyźni mają opuścić Wwę przed wojskiem. Nasz nocny dyżur pobudził wszystkich i wszyscy ubrali się i poszli. Od 5-tej rano do nocy płynęła fala ludzi przez most i Wałem⁹ prawie wyłącznie pieszo i z rowerami – obładowani walizkami, płaszczami, kołdrami, w najlepszym wypadku plecakami, z dziećmi, z kulawymi; z kobietami, wędrówka ludzkiej nędzy. Za każdym nalotem wianie w krzaki i w rowy i schrony. Wśród tego wszystkiego oddziały wojskowe.

Znów moment depresji. Co będzie z nami, temi, którzy zostają. Już wiem, że nasze wojsko rozstrzelało niemieckich właścicieli ziemskich na Pomorzu. Co oni zrobią z nami w danym razie. Trzeci moment depresji. Ratuje zawsze brak wyboru i wahania. Jest u mnie mama¹⁰, kiedy nie wyjechała ani do Bolciennik¹¹, ani do Kocka, ani do Milanowa¹² ani do Nie...../?/ gdy prosiła o zaproszenie, a oni się wymawiali – to teraz nie ma mowy. Orbis odradza dziennej jazdy z powodu nalotów. O połączeniach nie może udzielić informacji, tylko o godzinie wyjazdu z Wwy.

W nocy budowali barykady na Żoliborzu i na Mokotowie - na Kole wojsko

ustawia pozycje. Koło południa szalony atak bombowy, który mi przerywa rozmowę z Niną Franową Żółtowską¹³, która przyjechała pod bombami z Nekliwa Tomaszów do Wwy z małymi dziećmi i widziała jak bombardują szosę pełną ewakuowanych.

O 3-ciej nagle przychodzi pieszo Józek¹⁴ czarny od prochu. Jechał 3 dni, jego pociąg rozbiły bomby. Koło niego rozrywało ludzi w kawałki. W Nowogródki też były bomby i dywersanci – A tu nam się zdawało, że tam jest bezpiecznie!

Krótko przedtem był ostry atak, po którym zabrakło wody i światła, a gaz kazali przez radio zamknąć. Radio od południa ogłosiło odezwę + -: Obywatel stolicy. Ogólna ewakuacja Wwy jest nie wskazana. Każdy z Was może być potrzebny w stolicy – stolicy będziemy bronić! Podpis - gen. Czuma Dca Obrony Stolicy. Ludzie nie wiedzieli co robić - uszli z Woli na Saską Kępę z pakunkami i tu nie można, że nakaz dano przeciwny niż ten którego posłuchali nad ranem. Szli dalej. Jednostki wracały zdezorientowane i zgnębione. Co jedli ci co poszli, gdzie znaleźli nocleg i pożywienie – nie wiadomo! Józek zawrócił Lenarta z chłopcami, którzy wychodzili z Warszawy gdy on wchodził.

8/IX piątek. Wiadomości sprzeczne, że zbombardowana cała Ruhra, że Gdańsk przez nas zajęty, że Częstochowa odbita i Bydgoszcz itd.

Tymczasem wieczorem słychać niemieckie armaty i bitwę pod Warszawą. Saska Kępa zmieniona w obóz. Mieszkańcy pytają się czy uciekać czy zostać i co będzie dalej. Późniejsze wiadomości, że Gdańsk nie jest wcale zajęty, a załoga Westerplatte cała zginęła. Mieszkańcy idą na noc do rowów, my może jedynie do łóżka. O 1-szej w nocy bombardowanie Warszawy armatnie – pożary.

9/IX sobota. Świt (w dzień Józek jeszcze był pieszo w Warszawie, mimo że most dziurawy, ludzie przechodzili), nie wiedząc czy do nas kule nie trafiają, szczególnie, że trochę świstały koło nas, ubrałam się i leżałam ubrana. Z powodu braku prądu nie ma radia. W Warszawie jest i woda niesie głos, ale niezrozumiale. O 5-ej rano poszłam po wiadomości otrzymane na Genewskiej przez radio

kryształkowe: odezwa Starzyńskiego¹⁵, by nie uciekać – wezwanie to nie było nadane przez Radio Polskie! Więc dywersja! Straszna w skutkach – setki tysięcy ludzi błąka się – potem radio było nieczynne parę godzin! Czy to też dywersja?

Józek oddał mi swój testament, który schowałam w sejfie. Notuję tu jako dokument, że żegnając się Staszewski Leopold mi powiedział, że wszystko co ma dziedziczy po nim jego żona i na odwrót on dziedziczy wszystko po swojej żonie.

W południe silny nalot. Znów brak wody. W nocy huk armatni, jakby waliły prosto w nas. Nic nie wiemy czy istotnie Niemcy są pod samą Warszawą czy to nas myli akustyka. Radio daje wymijające informacje.

10/IX niedziela. Najgorszy dzień od początku wojny. Alarmów już właściwie nie odwołują, bo naloty i bombardowania trwają bez przerwy. Na gwałt kopujemy schron, ale bombowce nas spędzają z roboty. Pod wieczór szalone łuny na Pradze, na Grochowie i za Warszawą na Zachodzie. W nocy znów bombardowanie i ostrzeliwanie z aeroplanów i z armat przy świetle pożarów – mury się trzęsły, na podwórka odłamki się sypały jak groch – Wieczorem miałam nocny dyżur do północy – to był ostatni dyżur nocny O.P.L., bo nie wolno wychodzić po 9-ej wieczór – wojsko patroluje.

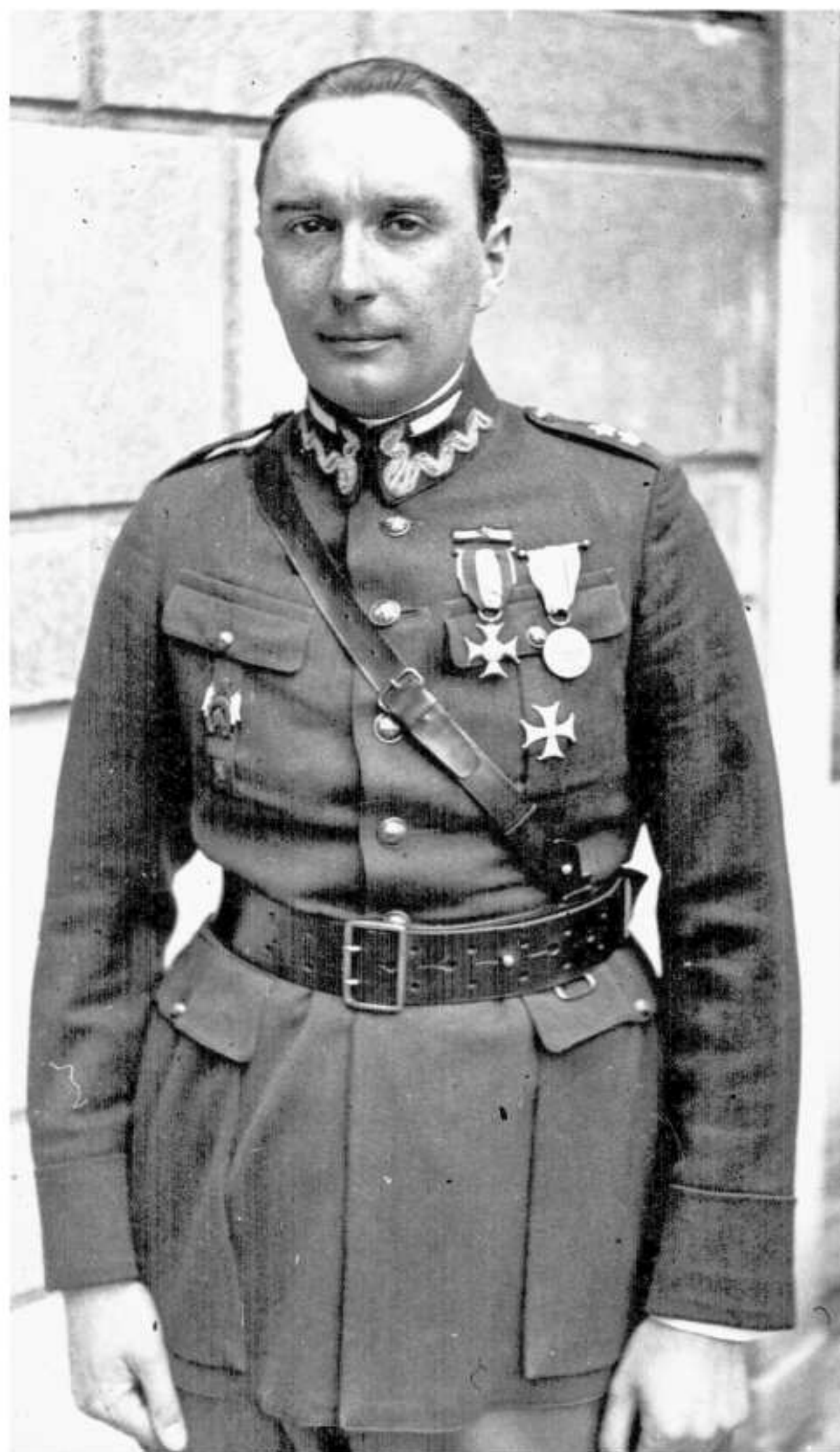
11/IX poniedz. Rano na śniadaniu było 4 żołnierzy zjedli i umyli się. Na kolacji był pułk. Stanowski. W ciągu dnia kopaliśmy schron, a z niedalekiej parceli ściągaliśmy z Józkiem trochę drzewa na przykrycie go.

12/IX wtorek. Pierwszy dzień spokojniejszy – rzadko naloty – wykończyliśmy schron i pokryliśmy go. Pomoc nieoceniona Sobolewskiego, który wczoraj wieczór wrócił z Dębli na, dokąd doszedł wzgl. dojechał na rowerze opuściwszy Warszawę przy tej nieszczęsnej bezcelowej ewakuacji zarządzanej przez radio, nasze czy nie nasze, już nie wiem. O 11-ej kapral z żołnierzem przyszli z rozkazem, że mamy ewakuować nasz blok. Rozpacz! Do 1-ej w południe nasze quartier ma być puste. Wędrować z ku-

fereczkiem i ze spizarnią – a dom i cały dobytek zostać na łasce opatrności! Na szczęście wpadł jakiś porucznik z krzykiem: Nie wierzyć! Dywersant! Ręce do góry – kapralowi zabrali broń i kazali prowadzić się do tego oficera, który miał wydać taki rozkaz. Poszliśmy z Józkiem do pana Staszewskiego zasięgnąć języka. Tam działał telefon. Zadzwoiłam do sklepu. Był otwarty pierwszy raz od 3 dni. Szyby nie wyleciały. Sprzedają płótno na onuce i na ręczniki i ścierki. Wacław Zych wrócił z tułaczki kilkudniowej ledwo żyw. Ekspedientka z Pragi nie może dojść. Warszawa na wszystkie strony zabarykadowana głównie tramwajami. U nas na Saskiej Kępie przejechać nigdzie nie można, takie barykady. Piechotą można się dostać wszędzie prócz na Wał /Miedzyszyński/ – bo tam nie wolno. Chodzę co dzień w poszukiwaniu za wiktuałami, ale niewiele można zdobyć – kalafiory, pomidory, nawet owoców nie ma, a o maśle i pieczywie nie ma co marzyć. Dotąd mieliśmy drożdże i dzięki temu własne pieczywo, ale dziś już poszukiwania za drożdżami były daremne.

14/IX czwartek. Poszłam

na 8 rano do punktu ratowniczo-sanitarnego zaimprovizowanego na Obrońców, żeby tam pomóc, byli tylko żołnierze z popuchniętymi nogami, rannych żadnych. Lekarz dał mi adres chorej staruszki zostawionej samej przy rondzie Washingtona w pustym domu. Dom zamknięty na klucz, dozorca przeniósł się o parę domów dalej – żołnierze mi go znaleźli. Otworzył bramę i drzwi do mieszkania. Bałagan obrzydliwy, jak świeżo po przenosinach – zapasów żadnych, ani jednej szyby, żywego ducha, tylko ta staruszka chora, bez grosza przy duszy. Syn zmobilizowany (pułk. Sosudowski/?!) służąca uciekła. Daje jej wody osłodzonej – a dozorca – niech Pani dużo nie daje, bo będzie robić pod siebie, a tu nie ma komu chodzić koło



Por. Marceł Żółtowski (* 1900 † 1940 Katyń).
Fot. w zbiorach rodzinnych

niej – jest dziś przeniesiona na inne łóżko. Na tamtem 5 dni leżała sama nieruchomo i tam jest gnój! Trzeba by ją umyć. Żeby była młoda umyłbym ją, ale starą myć obrzydliwe. Musiałam się ofiarować, że to zrobię, na szczęście odmówiła. – Straszna bywa sytuacja na świecie. Zameldowałam lekarzowi jak tam jest, dostałam nr telefonu jej krewnych w Warszawie i przyznaje się, że nie zdobyłam się na wzięcie jej pod swoją opiekę i odwiedzanie jej dalsze. W domu mnie czekała dobra wiadomość, że jest znów prąd elektryczny, a zatem i radio. – To uprzyjemnia też wieczór. Po kolacji w programie jest o 9ej dziennik wieczorny i partia cumcana z Józkiem o pieniądze – mama idzie wcześniej spać – o 10ej komunikat

sztabu, który coraz bardziej bezpośrednio nas dotyczy, bo front jest koło Otwocka i zbliża się do Saskiej Kępy.

15/IX piątek. Znow poszłam o 8 rano na punkt sanit. ratowniczy. Dali mi 5 rannych (3 ciężkie wypadki) do odwiezienia do Wwy do szpitala. Złapali auto prywatne i chłopca z wozem spod Łowicza. Pojechał sanitariusz na wozie, ja w aucie u św. Rocha nie chcieli mnie przyjąć, skierowali do uniwersytetu, tam też przepełnienie, wskazali improwizowany szpital na Traugutta 1. Tam obiecali ulokować dwóch lżej rannych na podłodze – więcej miejsca nie ma. U św. Rocha ostatecznie zostawiliśmy 3 ciężiej rannych. Pełno rannych wszędzie, nawet w bramie. Pospiesznie opatrzeni, na noszach odstawieni na bok w przejściu - spodnie spuszczone, koszula podniesiona, obojętni na widok jaki przedstawiają, śmiertelnie zmęczeni, bezgranicznie cierpliwi przedstawiają straszny obraz ludzkiej nędzy, a ci co pracują i co przechodzą koło nich poddają się psychozie niechlujstwa i zaniedbania. Ulice niezamiecione, kobiety w

spodniach bez żadnej potrzeby, wszystko sponiewierane i zbezczeszczone i ci ranni też mogliby mieć spuszczone koszule i być nakryci swoimi płaszczami. Jak mu zgubią to jego odzienie to on nagi zostanie na świecie, bo co mu teraz kto da do przyodziania się w tym bałaganie. Auto prywatne zwiąło, sanitariusz z noszami został, a ja odprowadziłam chłopaka podwodą z powrotem na Obrońców, ale roboty więcej nie dostałam. Tylko długo trwało nim dojechałam, bo mostem jechało wojsko chłopskimi furkami po 3-4 na wozie ku miastu - Wyloty mostu są okopane i zostawiony tylko przejazd na 1 furmankę – więc stoją całe sznury wozów i ludzie się denerwują, żeby ich nalot niemiecki na moście nie załapał. Że ten most jesz-

cze stoi to dziw. Ile amunicji bombowce na niego poświęcili! Parę dziur wielkości stołu porządnie deskami naprawionych nie stanowi żadnej przeszkody dla ruchu.

Popoł. praca w ogródku dosłownie pod kulami armatnimi, które przelatują nad nami i pod bombami, które wywołały pożary na Grochowie; na Gocławku i za willą Zaleskich. Przynajmniej tak to się przedstawia z naszych okien, może w istocie to jest trochę dalej. Patrzyliśmy pod wieczór z Józkiem na te pożary – z dachu i na bitwę, która się toczy na naszym terenie. Armaty nasze wała z parku Skaryszewskiego w stronę Miedzyszyna. Karabiny maszynowe z ogrodu koło nas. Kule świszczą, a odłamki robią nam drobne szkody. Całą noc kanonada bardzo silna – tzn. od 1-ej w nocy mniej więcej. Z wieczora się uciszyło trochę. W czasie dziennika radio o 9-ej padł strzał i w tym momencie radio umilkło, w pół zdania cisza – wrażenie przygnębiające, może ich tam rozwaliło? O 10-ej zamiast komunikatu sztabu cisza głucha. Strasznie było iść spać. Nic się nie wie, a Niemcy tuż. Położyliśmy się jednak. Nikt prawie z nas już nie sypia w łóżku, tylko w schronach wykopanych w ziemi. Jak się zaczęła kanonada o 1-ej w nocy ubrałam się i leżałam ubrana. Mamie poradziłam to samo, ale Mama się nie ubrała, tylko się modliła i była dziwnie spokojna, jak zresztą od początku zawsze. Rano mi Mama pokazała, że urwany blaszany parapet na zewnątrz okna, z szaloną siłą rozpruty kawałek. Naprzeciwko mego okna na Zakopiańskiej duży odłamek stłukł szybę i wpadł do pokoju.

16/IX sobota. Rano pada deszcz. Kule świszczą nam nad głową, dom się trzęsie od wystrzałów naszych dawanych tuż obok nas. Nie wyszłam, bałam się, że może nie będzie sposobu wrócić. W czasie największej kanonady myłam głowę, sprzątałam i obierałam buraki na barszcz, które Kasia wczoraj dosłownie zdobyła na Niemcu, bo wykopała na polu, gdzie właściciela Niemca przepędzili. Kupić już i tak nic nie można, więc nie ma po co chodzić do sklepików. Ostatnia zdobycz to było drzewo w szczapach, które przynieśliśmy Józek i ja, resztę Kasia z ulicy Francuskiej i 100 kg węgla, które przyniósł człowiek drogo opłacony za to.

Poza tem przynosiłam co dzień albo kalafiory, albo proszki Oetkera do pieczenia – ersatz drożdży – albo maggi-ego kostki na sosy, albo parę jajek – co się dało. O mięsie, maśle, słoninie, chlebie, drożdżach nie ma mowy już dobre 10 dni! Jak żyją ludzie, którzy zapasów nie posiadają, a mało kto posiada, to strach pomyśleć. Na razie podstawą ich życia są pomidory, ale co dalej. Zresztą od tych pomidorów wreszcie wybuchnie jaka cholera.

16/IX wieczór. Był ciężki dzień. Caluteńki dzień byliśmy pod obstrzałem bez przerwy prawie widać pożary. Nie mogę sobie znaleźć miejsca, o zmroku idę na górę do Józka i stamtąd patrzymy na cudowny pejzaż tragicznie oświetlony pożarami. Schodzę na dół i nagle słyszę kanonadę niemiecką (w ogrodach za moją parcelą) wołam na Józka na górę i jednocześnie on mnie woła przerażony i zbiega na dół. Czekamy w napięciu na wynik walki jaka się toczy dookoła naszego domu z karabinami ręcznymi i maszynowymi i ręcznymi granatami.

Pierwszy raz obleciał mnie strach i wstręt. Lepiej słuchać bomb i armat, niż nawoływać niemieckich żołnierzy. Pod kulami się idzie do swoich zajęć bez wysiłku, a poczucie, że Niemcy wpadną do pokoju z wrzaskiem „Hände hoch” jest przerażające.

Koło 10ej wieczór graliśmy w cumcana w dużym pokoju, gdy nagle rozległ się straszliwy huk i wstrząs – wyleciały wszystkie prawie szyby w obydwóch pokojach od ogrodu i zerwały czarne papiery zaciemniające. Zgasiliśmy świeczkę i uciekliśmy do stołowego. Tam wciągnęłam materac i fotel i tak nocowaliśmy czujni na każdy strzał. Mamę położyłam w małym pokoiku też w ubraniu. Nad ranem się uciszyło – Niemcy uciekli. Sami znaleźliśmy karabin maszynowy za naszym płotem u Jasia ogrodnika. Siedzieliśmy u niego [pod] starymi orzechami. Tyle tam było spokoju i wiejskiego uroku, jakby parę godzin wcześniej nie była tam przeszła ta wataha.(cdn)

Przypisy:

¹ Cecylia Żółtowska ur. 2.10.1898 r. w Kadziewie, zm. 19.11.1973 r. w Warszawie, córka Adama Żółtowskiego z Jarogniewic i

Marii z Kwileckich z Oporowa. Nauki pobierała w domu, następnie została wysłana do Belgii i Drezna, w 1916 r. skończyła *Josephinenstift* w Dreźnie i wróciła do Jarogniewic. W latach dwudziestych poznała prof. Józefa Czajkowskiego i zafascynowana jego ideami odrodzenia polskiego rękodziela zaangażowała się w organizowanie i pracę *Spółdzielni Artystycznej „Ład”*, była w latach trzydziestych kierownikiem sklepu w Warszawie w *Hotelu Europejskim przy Krakowskim Przedmieściu 13. Mieszkała na Saskiej Kępie, ul. Zakopiańska 4, w willi zaprojektowanej dla niej przez Czajkowskiego; po wojnie willi nie odzyskała.*

² Marceli Żółtowski z Głuchowa, brat Cecylii, ur. 18.06.1900 r., zginął w Katyniu 14.04.1940 r.

³ Róża z d. Turno, żona Marcelego z córką Marią /ur. 1930 r./ i synem Piotrem /ur. 1931 r./.

⁴ Pałac i majątek Józefa Żółtowskiego, dalszego stryja Marcelego.

⁵ Blok oznacza albo kamienicę, gdzie był sklep, albo raczej kwartał dzielnicy willowej.

⁶ Był porucznikiem rezerwy 17 Pułku Ułanów.

⁷ Trzecie dziecko Marcelego i Róży, ur. w 1935 r., nieuleczalnie chora, zm. 4.10.1939 r. w drodze powrotnej z ucieczki na wschód /do Kocka/, pochowana na cmentarzu w Głuchowie.

⁸ Jadwiga z d. Mańkowska, żona malarza Janusza Strzałeckiego, kuzynka Cecylii.

⁹ Miedzyszyńskim.

¹⁰ Maria Adamowa Żółtowska z d. Kwilecka /1870-1959/, po oblężeniu Warszawy wróciła do Jarogniewic. 7 grudnia 1939 r. wysiedlona, trafiła znowu do Cecylii, skąd zabrała ją starsza córka Nina Morstin. Całą okupację spędziła u Morstinów w Pławowicach /pow. Miechów/. Wróciła do Wielkopolski w marcu 1945 r. pod opieką starszego syna Stanisława. Przyjęły ją SS Urszulanki, zgromadzenie jej najmłodszej córki Gabrieli, gdzie do końca życia była rezydentką w ich domach, najpierw w Otorowie, potem w Lipnicy, gdzie zmarła. Pochowana została na cmentarzu w Otorowie. W kościele w Głuchowie, gdzie pochowany jest mąż Adam, ma tablicę epitafijną. W ostatnich latach życia pisała wspomnienia, zachowane w maszynopisie.

¹¹ Majątek Janiny Adamowej Żółtowskiej, z domu Puttkamer.

¹² Majątek Jędrka Żółtowskiego.

¹³ Franowie Żółtowscy z Nekli, od czasu wojny w Anglii na emigracji.

¹⁴ Józef Czajkowski, por. przypis 1.

¹⁵ Prezydent Warszawy Stefan Starzyński.

Dziennik rawickiego policjanta (IV)

Ten dziennik jest po części mistyfikacją. Funkcjonariusz Schutzpolizei w Rawiczu w latach 1939-1940 nie prowadził osobistych zapisków. Ale z tamtych czasów pozostały w archiwach tomy dokumentów, które wykorzystałem. Mistyfikację stanowi jedynie formuła dziennikarskiego przekazu, ale zdarzenia i osoby - poza narratorem - są autentyczne. Do pisania o Ziemi Rawickiej namawiał mnie od dawna miłośnik regionu, prezes Rawickiego Towarzystwa Kulturalnego pan Józef Stasiak. Więc jeśli ten swoisty reportaż odkryje przed czytelnikami nieznanne fragmenty okupacyjnych dziejów pięknego i bogatego w tradycje miasta i powiatu - to cel, jaki wspólnie sobie postawiliśmy będzie osiągnięty. Tworzywem są wyłącznie niemieckie materiały, wśród nich kompletne i dobrze zachowane w Archiwum Państwowym w Poznaniu księgi raportów dziennych posterunku Schutzpolizei w Rawiczu.

3 IV 1940. Handel kwitnie. Rawickie stało się żywnościowym zagłębiem Rzeszy. Na zakup środków żywnościowych wprost od rolników trzeba mieć specjalne zezwolenia. Tymczasem kwitnie przemyt. Niemcy ze Starej Rzeszy i Polacy z Generalnego Gubernatorstwa prześcigają się w pomysłowości. Zdecydowano się od 11 marca br. wprowadzić zaostrzoną kontrolę bagaży na dworcach i w pociągach. O 16.30 zatrzymałem na dworcu w Rawiczu w zecera Alfreda Simonidesa z Wrocławia (ur. 29 III 1889r.). Przewoził w walizce m. in. 10 funtów masła i 2-3-funtową szynkę. Wartość żywności wynosi ok. 20 marek. Simonides kupił żywność od rolników z przedmieść Rawicza. Tłumaczył się, że jest chory na cukrzycę, stąd gromadzi zapasy masła. Żywność zabrałem i przekazałem za pokwitowaniem opiece społecznej. Na polecenie gestapo z Leszna aresztowaliśmy szewca Piotra Tuszaka.

24 IV 1940. Spore zamieszanie stwarzają złośliwe wybryki polskich wyrostków. Ich ulubioną zabawą stało się zmienianie kierunku drogowskazów i niszczenie ostrzegawczych znaków drogowych. To już nie są żarty, tylko sabotaż. Transporty Wehrmachtu, słabo zorientowa-



Adolf Hitler przemawia do niemieckiej młodzieży w 1935 r. Fot. archiwum „WK”

ne w terenie, krążą po nocach między wioskami. Prowadzę dochodzenie w sprawie zgłoszonej trzy dni temu przez volksdeutscha Emila Kinasta z Masłowa. 21 kwietnia br. w nocy nieznani sprawcy uszkodzili drogowskazy, a bramę zagrody jednego z Niemców opisali obraźliwym słowem „k...”. Kinast przypuszcza, że sprawcami tego czynu są polscy młodzieńcy z Masłowa.

W nocy ok. 22-iej zadzwonił z więzienia nadzorca Franzke. Zameldował, że przed niespełną godziną kowal z Szymanowa S. powiadomił go, że w godzinach wieczornych widział trzech podejrzanych mężczyzn, którzy przeskakując z rowu do rowu i kryjąc się za krzakami, zmierzali w kierunku sarnowskiego lasu. Jeden z nich ubrany był po cywilnemu, dwóch w mundurach. Franzke zarządził alarm w więzieniu i stwierdził, że nikogo z więźniów nie brakuje. Podejrzani osobnicy mogą być więc zbiegłymi jeńcami z obozu. Powiadomiłem żandarmerię, aby natychmiast wszczęła poszukiwania.

30 IV 1940. Aresztowania Polaków nie ustają. Nieomal każdego dnia gestapo z Leszna kieruje nam nakazy. Tajna policja państwowa nie ma w Rawiczu własnej placówki. Mówi się tylko, że funkcję oficera służby informacyjnej pełni szef komórki politycznej w więzieniu. Większość aresztowań w mieście przeprowadzamy my, tj. Schutzpolizei, a na terenie

powiatu - Gendarmerie.

Trzy dni temu przyszedł dziwny rozkaz z miejskiego urzędu młodzieży we Wrocławiu. Nie wiedzieliśmy - czy go natychmiast wykonać i skonsultowaliśmy się z gestapo. Odpowiedzieli, że zadanie mamy zrealizować. W więzieniu w Rawiczu przebywa aferzysta Heinz Bonbek z Wrocławia, który pełnił funkcję skarbnika we wrocławskim Hitlerjugend. Zdefraudował tam olbrzymie kwoty. W księgach, które przy jego aresztowaniu tamtejsza policja zajęła jest tak wielki bałagan, że nie można ustalić kwoty defraudacji. Władzom Wrocławia nie jest na rękę ujawnianie sprawy, albowiem sprzeniewierzone pieniądze przeznaczone były na zimową pomoc dla Wehrmachtu i pochodziły ze zbiórek społecznych. Urząd młodzieży zażądał, abyśmy Bonbka skierowali do obozu koncentracyjnego w Gross-Rosen, co też uczyniliśmy.

Wczoraj na polecenie gestapo z Leszna aresztowaliśmy i osadziliśmy w więzieniu, ukrywającego się tutaj przy Kirchstrasse 20 byłego sierżanta Wojska Polskiego Franciszka Jakubowskiego z Ostrowa (ur. 19.I.1898r. w Rudkach pow. Szamotuły).

Dzisiaj ujęliśmy i przekazaliśmy gestapo w Lesznie byłego polskiego strażnika policji Franciszka Domanieckiego, mieszkającego wspólnie z Jakubowskim, urodzonego 9 X 1884r. w Foluszu. Domaniecki był od dawna poszukiwany, a jego aresztowanie jest dziełem przypadku.

8 V 1940. Kłopoty stwarzają nam liczne ucieczki żołnierzy i oficerów polskich z obozów jenieckich. Tak się składa, że przez Rawicz prowadzi „uczęszczany” szlak ucieczkowy. 6 maja zaalarmowani zostaliśmy informacją, że z obozu jeńców wojennych w Silberbergu w górach zbiegło 10 oficerów. Dwóch z nich ujęto w Żmigrodzie. Oficerowie noszą mundury bez dystynkcji. Można się spodziewać, że przez Rawicz pociągiem zamierzają przedostać się do Poznania. Powiadomiliśmy straż kolejową i miejscową komendę Wehrmachtu.

Aresztowaliśmy Polaka X. z okolicy Rawicza. Zawezwany do Urzędu Pracy, stwierdził, że nigdzie na roboty nie pojedzie, bo od dwóch lat pełni tutaj zadania wywiadowcze na rzecz Niemiec. Powoływał się na nazwisko dr Scholza z

Wrocławia. Aby sprawdzić dla kogo rzeczywiście Polak ów pracuje - osadziliśmy go w więzieniu.

14 V 1940. O godzinie 13-tej funkcjonariusz żandarmerii Jakob Alrich, lat 48, znaleziony został martwy w swym mieszkaniu przy Friedrichstrasse 18. Kiedy do pokoju wszedł porucznik żandarmerii Singer, zobaczył Alricha, nieruchomo leżącego w łóżku. Żandarm popełnił samobójstwo, strzelając sobie w skroń z własnego pistoletu kaliber 7,65. Pozostawił list, którego treści nikt nie zna. Większość z nas jest przekonana, że Alrich dał się zamieszać w sprawy polityczne. Nie jest wykluczone, że współdziałał z grupą Polaków spiskujących przeciw Rzeszy.

17 V 1940. Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy doszedł do wniosku, że na ziemiach wcielonych w poważnym stopniu rozwija się konspiracyjny ruch oporu. Jego przywódcami są przedstawiciele polskiej inteligencji. Wobec tego zarządzone zostały aresztowania profilaktyczne, które objęły wszystkie miasta Śląska, Pomorza i Wielkopolski. Dziś we wczesnych godzinach rannych, na rozkaz gestapo - aresztowano 14 Polaków - mieszkańców Rawicza (12 mężczyzn i 2 kobiety), przekazując ich do więzienia. O godz. 14.15 zbiorczym pociągiem skierowani zostali do Poznania. Konwojem kierował kapitan Schupo - Lindl.

29 V 1940. To miasto przekłete pełne jest szpiegów. Czujemy na sobie oczy śledzących nas Polaków. Raz po raz wybuchają zdawałoby się drobne afery, które jednak razem analizowane nie nastrajają optymizmem. Przestrzegano nas przed tym miastem, kiedy rozpoczęliśmy służbę dla Rzeszy i Führera na Wschodzie; przestrzegano i nie bez racji.

Około godz. 14 pod zarzutem szpiegostwa aresztowaliśmy Polaka - Franciszka Lisieckiego zam. Przy Wilhelmsgrund 80 (ur. 20 IX 1912r. w Rawiczu). Trzy i pół godziny przed nim zamknęliśmy w więzieniu z tego samego powodu Polaka Stanisława Naskręta zam. przy Preussischestr nr 9 (ur. 7 XI 1908r. w Bliznej). Obaj od pewnego czasu znajdowali się pod obserwacją naszych informatorów. Polacy działali wspólnie z kelnerką W., zapraszali w gościnę niemieckich żołnierzy i zabierali im ważne dokumenty.

31 V 1940. Konwojowanie więźniów zajmuje nam wiele czasu. Konwoje bywają różne: z dworca do więzienia, z więzienia na dworzec i dalej do miejsca skierowania. Biurokratyczna machina sądownicza jest nieubłagana. Aresztowanego - np. w Rawiczu - kierujemy na czas dochodzenia do naszych cel, znajdujących się w obrębie więzienia. Jeśli sprawa jest poważniejsza, na rozprawę wieziemy do Poznania, gdzie staje przed Sondergerichtem. Tam zapada wyrok i skazany wraca z powrotem do Rawicza. Nieustanny ruch pociągów i samochodów. Dziś np. Sondergericht Posen skazał na karę śmierci 4 Polaków, których na rozprawę dowieźliśmy z więzienia w Rawiczu i po ogłoszeniu przywieźliśmy z powrotem. 4 czerwca o 13 mamy skazańców przewieźć do więzienia przy ul. Młyńskiej w Poznaniu, gdzie wyrok zostanie wykonany. Musimy na ten wyjazd zadysponować ciężarowy samochód do przewozu więźniów.

17 VI 1940. Afera szpiegowska Lisieckiego nabiera coraz większych rozmiarów. W mieszkaniu wyżej wymienionego znaleziono cały karton pełen niemieckich dokumentów, w tym o dużym znaczeniu wojskowym. Ze sprawą tą wiąże się m. in. dzisiejsze zdarzenie. O godz. 9.55 na skraju lasu w Rawiczu żołnierze znaleźli zwłoki podoficera Helmuta Knolla z Zapasowego Oddziału Pancernego 2/33. Wspomniany podoficer pozbawił się życia 2 strzałami z pistoletu służbowego. Mówi się, że pozostawał w jakichś związkach z Lisieckim.

W mieście panika z powodu grożącej epidemii tyfusu plamistego. Dwa dni temu chorobę tę lekarze stwierdzili u volksdeutscha Otokara Zimmera, zam. Gartenstrasse 9a.

26 VI 1940. Wczoraj o 6-tej rano aresztowaliśmy Wojciecha Buchwalda pod zarzutem wygłaszania przemówień podżegających, przez noc trzymaliśmy go w areszcie policyjnym. Dzisiaj na rozkaz gestapo o godz. 14.30 samochodem osobowym pod eskortą odstawiliśmy do Leszna Franciszka Lisieckiego i Wojciecha Buchwalda. Wraz z nimi dostarczyliśmy do gestapo dwie skrzynie dokumentów.

1 VII 1940. Ostre zarządzenia o obowiązku zdawania broni i amunicji z września ub. r. nie zostały przez Polaków

w Rawiczu potraktowane z należytą powagą. Wielu mieszkańców miasta i okolicznych wsi - po prostu - ukryło broń. „V-3” doniósł, iż Polak Wojciech Nowaczyk zam. w Masłowie nr 6 przechowuje broń. Zarzut był ciężki i gdyby się potwierdził oznaczał dla Polaka karę śmierci. We wskazanym przez „V-3” miejscu broni nie znaleziono. Wyszło na to, że informator zadencjonował Nowaczyka z pobudek nienawiści osobistej. Informatora aresztowano i osadzono w więzieniu w Rawiczu, a Polaka - zwolniono.

2 VII 1940. Ulotki, które ukazują się często w miejscach publicznych dowodzą, że w mieście działa zorganizowana grupa konspiracyjna, która przyjęła za cel walkę z władzą niemiecką. Gestapo z Leszna podejrzewa, że w Rawiczu przygotowuje się spisek. Ze względów bezpieczeństwa publicznego aresztowaliśmy dziś i zamknęliśmy w więzieniu trzech Polaków, których nazwiska nadesłało nam gestapo z Leszna. Są to: Wiktor Leśniarek (ur. 22 III 1914r.) zam. przy Gartenstrasse 1, Stanisław Witkowiak (ur. 14.IV.1913r. Gładbach - Westfalia), zam. przy Markt 17 i Stanisław Boryczka (ur. 13 XI 1911r.) zam. przy Friedericstrasse 27. Aresztanci przekazani zostaną tajnej policji państwowej.

4 VII 1940. Organizacja siły roboczej, która wspierać ma gospodarkę Starej Rzeszy należy do ważnych zadań powiatu. Landrat wpadł na pomysł ujęcia unikających pracy Polaków. Dziś zostali wezwani do Urzędu Opieki Społecznej mieszkańcy Rawicza, nie posiadający stałego źródła utrzymania. Powiedziano im, że wpisani zostaną na listę zapomóg materialnych. O godz. 15-tej, krótko przed zamknięciem Ratusza wkroczyliśmy do akcji. 100 kobiet i mężczyzn spod Ratusza doprowadziliśmy do Arbeitsamtu, gdzie wpisani zostali na listy. Sporo z tych ludzi niebawem wysłanych zostanie do pracy w głąb Rzeszy.

5 VII 1940. Akcja dostarczania siły roboczej w głąb Rzeszy trwa. Dzisiaj wyznaczono 16 rodzin, które z Rawicza skierowane zostaną na przymusowe prace. Otrzymały one od nas wezwania, by jutro z minimum bagażu, stawiły się w komplecie na dworcu. Od 13-19-tej trwała nieprzerwana rejestracja transportu w



Dworzec kolejowy w Rawiczu.

Fot. archiwum „WK”

Arbeitsamcie. Przy takiej okazji trzeba wypełniać olbrzymie ilości różnych formularzy. Rejestrację prowadziło 4 urzędników.

21 VIII 1940. Z konspiracyjnymi organizacjami polskimi w Rawiczu nie możemy sobie poradzić. Co zlikwidujemy jedną grupkę - w jej miejsce powstaje inna. Dziś przeprowadzaliśmy na zlecenie gestapo z Leszna zbiorowe aresztowanie konspiratorów, którzy przygotowywali się do zamachu stanu. Na liście aresztowanych znaleźli się; kupiec Albin Dokowicz zam. Wilhelmplatz 11, mistrz szewski Stefan Janiszewski zam. przy Markt 26, stolarz Franciszek Ignasiak zam. przy Schuetzenstrasse 7, urzędnik Zygmunt Adamski zam. przy Schossstrasse 9, nauczyciel Witold Maćkowiak zam. przy Kirchstrasse 26, służąca Maria Duda zam. Waldstrasse 5, krawcowa Zofia Krzymińska zam. Wilhelmplatz 11. Na trop tej grupy gestapo trafiło prowadząc sprawy w Lesznie. Kupiec Dokowicz przyjmował kilkakrotnie łączników z Leszna, z dawnej organizacji „Sokół”. Aresztowanych przewieźliśmy do placówki leszczyńskiego gestapo. Rodziny i znajomych uwięzionych Polaków otoczyliśmy „szczególną opieką”. Wydano polecenie stałej obserwacji mieszkania Dokowicza.

4 IX 1940. O godz. 18-tej samochodem przyjechał kierownik placówki gestapo w Górze (Wrocław) SS-Obersturmführer Schuster w zamiarze przeprowadzenia rewizji w mieszkaniu 63-letniego Wojciecha Jańczaka w Rawiczu. Synowie Jańczaka - poszukiwani przez gestapo - byli wybitnymi agentami polskiego kontrwywiadu. Schuster, o którym się mówi, że ma przyjąć na szefa

gestapo do Leszna przeprowadził rewizję osobiście przy pomocy policjanta pomocniczego - Linka. O wynikach nas nie powiadomiono.

7 IX 1940. Od pewnego czasu mnożą się anonimowe listy na funkcjonariuszy i urzędników niemieckich. Istnieje podejrzenie, że autorem tych listów jest zorganizowana grupa polska, chcąca wprowadzić zamieszanie wśród niemieckich władz. Pisane są nienaganną niemczyzną - zawierają obok prawdziwych zarzutów także perfidne, wymagające długich dochodzeń, pomówienia. Na podstawie takiego anonimowego przeprowadziliśmy dziś rewizję w mieszkaniu wyższego urzędnika więziennego Roberta Goerlich zam. przy Markt 17. Z listu wynikało, że Niemiec - nadużywając stanowiska - kradnie żywność, zwłaszcza mięso i kiełbasę ze stołówki więziennej. Żona była zaskoczona. W domu niczego nie znaleźliśmy. W trakcie rewizji nadszedł Goerlich i odgrażał się, że tego nie popuści. Powoływał się na wieloletnią przynależność do NSDAP. W jego teczce żywności także nie znaleźliśmy.

8 IX 1940. Jeśli komuś się wydaje, że tu w Wielkopolsce policjantom żyje się jak u Pana Boga za piecem - to jest w błędzie. Dziś o godz. 21.30 w pobliżu koszar na promenadzie poprzez drogę ktoś rozwinął mocno naciągnięty drut kolczasty. To sabotaż. Do większego nieszczęścia nie doszło. Na drut wpadła jedna z pań, która wracała z zebrania NSDAP, odbywającego się w Strzelnicy. Sprawca jest nieznany. Sprawę przejął komisarz Glass, który mianowany został niedawno komendantem Kriminalpolizei i pozostaje w ścisłym związku z leszczyńskim gestapo. (Koniec)

JERZY ZIELONKA

Tragiczny skok do pociągu (I)

8 stycznia 1967 roku około godz. 4.20 wpadł pod pociąg we Wrocławiu wybitny aktor, legenda polskiego filmu, Zbigniew Cybulski. W wyniku ciężkich obrażeń zmarł o godz. 5.25 w Szpitalu im. Ludwika Rydygiera we Wrocławiu. Wiele na ten temat napisano. Tragedia obrosła legendami. Redaktor Teresa Maśłowska odnalazła i publikuje na naszych łamach nieznane, fragmenty pierwszych dokumentów (protokoły) sporządzonych po śmierci aktora jeszcze we Wrocławiu. Warto dodać, że Zbigniew Cybulski był bliskim krewnym generała Wojciecha Jaruzelskiego.

W nocy z 7 na 8 stycznia 1967 roku, pracownica PKP Irena Chabierska, dyspozytorka biura rezerwacji miejsc, miała dyżur na stacji Wrocław Główny. Noc przebiegała spokojnie, nic specjalnego się nie działo. Aż do tego momentu.

Dokument nr 1. Stacja Wrocław Główny, 9 stycznia 1967. Protokół z przesłuchania świadka Ireny Chabierskiej z Wrocławia, ur. 24 IX 1927 w Kaliszu. Sporządził adiunkt stacji Wrocław Główny Zbigniew Kowal.

„(...) O godz. 3.50 zebrałam diagramy od kasjera sprzedającego miejscówki i udałam się na peron do pociągu Nr. 6108 by oddać konduktorowi za pokwitowaniem. Gdy przyszedłam na peron, była godz. 3.55 skład pociągu Nr. 6108 już stał na peronie. Po dokonaniu tej czynności z konduktorem skontrolowałam skład pod względem czystości i prawidłowości numeracji miejsc, oraz pomagałam lokować podróżnych, których była bardzo znikoma ilość. Następnie przed odjazdem pociągu o godz. 4.15 przeszłam od pierwszego konduktora do ostatniego zbierając dane, potrzebne do awizacji miejsc, z kolei stanęłam przy końcowym konduktorze na wysokości zejścia z peronu do holu. O godz. 4.20 konduktor końcowy podał sygnał „gotów” i pociąg ruszył. W tym czasie gdy pociąg był w biegu, usłyszałam szybkie kroki z tunelu i głosy „prędko, prędko”, gdy odwróciłam się skąd dochodziły głosy, zobaczyłam dwóch mężczyzn, jednego na połowie schodów drugiego sylwetka wyłaniała się z tunelu. Zapytałam czy do Warszawy, na co pierwszy odpowiedział „tak” odpowiedział

łam że za późno, pociąg ruszył. Mimo moich ostrzeżeń i konduktora „nie wsiadać” osobnik przyspieszył kroku przecierał obok mnie (odczułam odór alkoholu) i usiłował wskoczyć do drugiego wagonu, gdzie stał w drzwiach konduktor, który ostrzegł tegoż osobnika poraz drugi i zamknął drzwi. Osobnik ten przyspieszył bieg i wskoczył na stopień wagonu poprzedniego tj. przed konduktorem, po otwarciu drzwi w biegu rzucił torby do wagonu i stojąc przy otwartych drzwiach, ponaglał drugiego osobnika, który w tym momencie stanął na peronie „Zbysiu Bysiu prędko” - od drugiego osobnika, który również przelatywał obok mnie odczułam zapach alkoholu. (Wracając jeszcze do pierwszego osobnika – na wołanie ostrzegawcze „nie wsiadać”, w stosunku do konduktora zachował się nietaktownie, użył wulgarnego wyrażenia...) widziałam jak zmobilizował swoje siły, zatoczył się biegnąc szybko do wagonu, gdzie w otwartych drzwiach stał jego kolega, gdy doleciał do niego [wciąż] biegnąc podawał walizkę (czarną) prawą ręką, biegnąc lewą usiłował uchwycić się za uchwyt drzwi z wewnętrznej strony wagonu i w tym momencie zauważyłam, że walizka jest trzymana w powietrzu przez jednego i drugiego osobnika i w momencie wskoczenia do wagonu, osobnik ten nie uchwycił się jednak lewą ręką uchwytu i zsunął się pod wagony. Na widok ten na moment zamknęłam oczy z przerażenia, krzyknęłam przeraźliwie i zauważyłam, że pociąg zwalnia bieg i stanął. Osoby z pociągu biegły na miejsce wypadku, ja ich minęłam i szybko pobiegłam do pomieszczenia dyspozytora stacyjnego, skąd telefonicznie wezwałam lekarza pogotowia ratunkowego PKP st. Wr. Główny, następnie wróciłam do poszkodowanego, który już leżał na peronie wyciągnięty z toru, na swoim własnym kożuchu, gdy nachyliłam się odczułam zapach alkoholu od poszkodowanego, jak również od jego współtowarzysza podróży, który stał obok poszkodowanego. Następnie będąc przy karetkce pogotowia, w tym czasie, gdy lokowano poszkodowanego stał też przy nim ten drugi osobnik, którego zapytałam tymi słowami „Czy już pan wytrzeźwia – co pan narobił”, odpowiedział „Muszę być w War-



Tablica pamiątkowa na peronie 3 wrocławskiego dworca ufundowana w 30 rocznicę śmierci aktora

Fot. Teresa Mastowska

szawie”. O tym, że uległ wypadkowi aktor Cybulski, dowiedziałam się dopiero od funkcjonariusza KMO i członka ORMO, którzy przyszli do mnie do mojego pomieszczenia żądając podania adresu zamieszkania, ponieważ będę wzywana jako świadek w tej sprawie (...).

*

Maszynista pociągu 39-letni Stanisław Podubrowny z Wrocławia przesłuchiwany był 10 stycznia 1967 r. przez funkcjonariusza milicji i zeznał:

Dokument nr 2. Stacja Wrocław Główny Komisariat Kolejowy MO. 10 stycznia 1967. Protokół z przesłuchania świadka Stanisława Podubrownego z Wrocławia, ur. 14 II 1929 w Krypach. Sporządził referent dochodzeniowy Jan Garbarczyk.

„(...) Dnia 8 I 67 po zjeździe elektrowozem ET 27-345 na grupę, a następnie wstawienie składu pociągu 6108 na peron III oczekiwałem na odjazd pociągu. Podaję, że peron był z lewej strony pomocnika Stępińskiego Czesława. Po otrzymaniu sygnału „odjazd” podany przez kierownika pociągu, który przekazał mi pomocnik ustnie

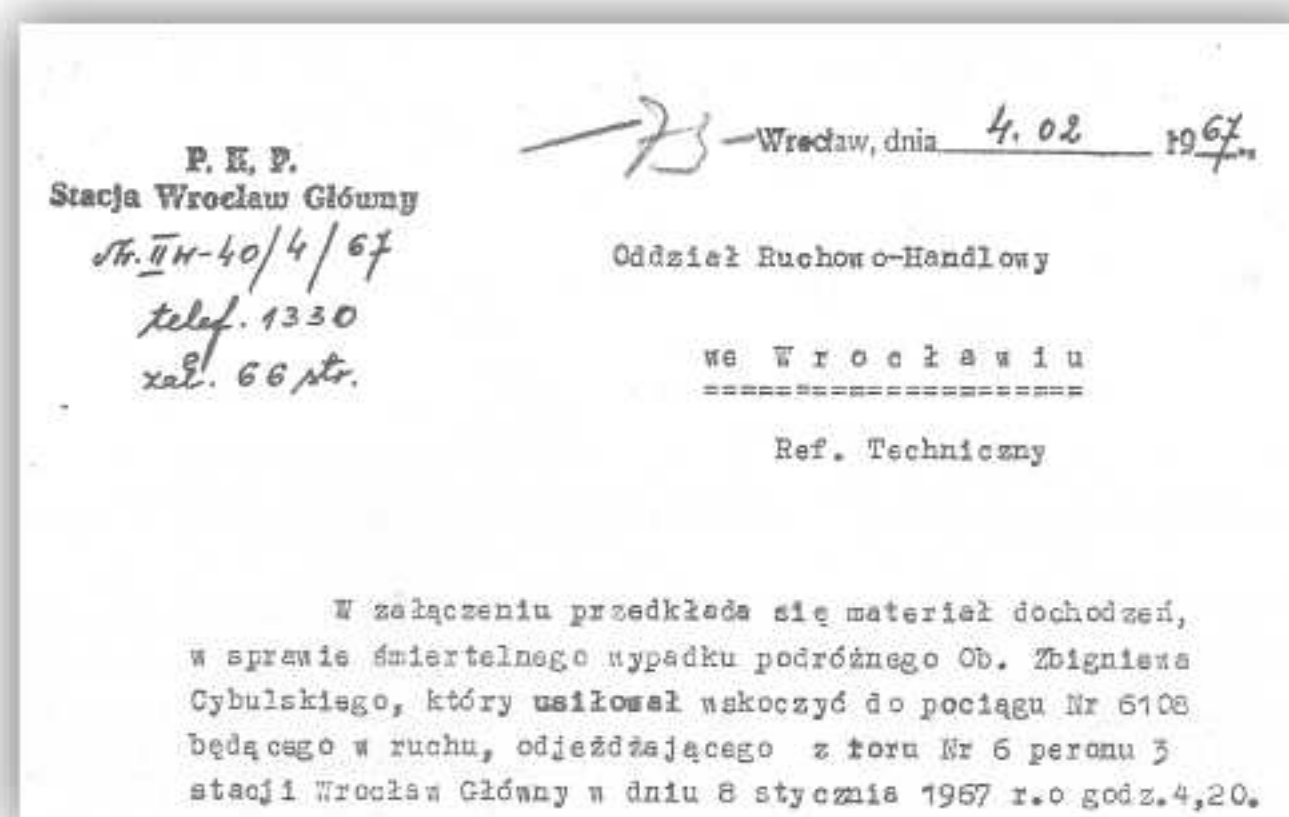
słowo „odjazd” uruchomiłem elektrowóz i ruszyłem z pociągiem. Po ujechaniu na odległość około elektrowozu został pociąg zatrzymany przez zerwanie hamulca bezpieczeństwa w pociągu. Zatrzymanie nastąpiło od 15 do 20 metrów. Podaję, że odjazd pociągu 6108 nastąpił planowo tj. godz. 4.20. Zaznaczam, że okoliczności wypadku są mi nieznane. Po postoju plus 15 minut na sygnał kier. poc., a przedtem dokonaniu uproszczonej próby przez rewidenta wagonu odjechałem ze stacji Wrocław Gł. do stacji Opole Gł. Tyle co mogę podać w tej sprawie (...).

*

12 stycznia 1967 r. konduktor rewizyjny Józef Zgrzebny z Opola przesłuchiwany był w biurach stacji PKP Wrocław Główny:

**Dokument nr 3. Stacja Wrocław Główny, 12 stycznia 1967. Protokół z przesłuchania świadka Józefa Zgrzebnego z Opola, ur. 13 III 1920 w Garnku pow. Radomsko. Sporządził adiunkt stacji Wrocław Główny Zbigniew Kowal, w obecności radcy Prawnego DOKP Wrocław mgra Stefana Węgrzy-
na.**

„Dnia 8 I 67 około godz. 3.20 z kierownikiem pociągu i konduktorem przejąłem skład pociągu Nr 6108 na grupie. Po przyjęciu składu, około godz. 3.50 skład został wciągnięty w peron na tor 6. W czasie postoju składu w peronie, wyszedłem z wagonu na peron informowałem i lokowałem podróżnych, w międzyczasie słyszałem zapowiedź przez megafon „Pociąg Ekspresowy do Warszawy stoi na torze Nr 6 przy peronie Nr 3”. Następnie przed odjazdem również słyszałem zapowiedź... Drzwi w mojej części składu tj. 3 wagony były pozamykane, dałem sygnał gotów do odjazdu i pociąg zgodnie z rozkładem jazdy tj. o godz. 4.20 ruszył. Zająłem miejsce w drzwiach drugiego wagonu od końca w przedniej części. Po ujechaniu około 30 metrów stojąc przy uchylonych drzwiach wagonu zauważyłem, że z tunelu na peronie wyłoniła się sylwetka mężczyzny, który biegł szybko za pociągiem usiłując wskoczyć do wagonu, w którym stałem, jednak na moje ostrzeżenie nie wsiadał, osobnik ten nie zareagował i przyspieszając kroku, wskoczył na stopnie sąsiedniego wagonu tj. trzeciego wagonu od końca pocią-



Fragment dokumentu ze śledztwa w sprawie śmierci Zbigniewa Cybulskiego

gu otworzył drzwi i wołał do kolegi żeby podał mu walizeczkę. (Czy na moje ostrzeżenie nie wsiadać, osobnik ten coś odpowiedział nie pamiętam). W tym momencie zauważyłem drugiego osobnika, którego wołanie kolegi będącego w drzwiach wagonu „wsiadaj” widocznie go zdopinguowało, ponieważ przyspieszył kroku i biegł do wagonu, w którym znajdował się jego kolega. Osobnik ten biegł chwiejnym krokiem trzymając walizeczkę w prawej ręce, widząc że osobnik ten jest pod wpływem alkoholu, wołałem ostrzegając kilkakrotnie „nie wsiadać, nie wsiadać”, jednakże mimo moich ostrzeżeń osobnik ten wrzucił walizeczkę swemu koledze i usiłował wskoczyć na stopnie wagonu i w tym momencie widziałem jak kolega chciał go uchwycić za rękę za prawe ramię płaszcz, jednak tego nie uczynił i osobnik stracił równowagę wpadł pomiędzy obudowę peronu a wagony. Widząc ten moment szybko wszedłem do wnętrza wagonu i zawołałem na podróżnego, aby zerwał hamulce bezpieczeństwa, co też uczynił. Po zatrzymaniu pociągu, natychmiast wyszedłem z wagonu i udałem się do miejsca wypadku, w tym też czasie podróżni wyciągnęli poszkodowanego na peron. Widziałem, że poszkodowany miał okaleczoną głowę, jak i również zakrwawioną twarz. Po chwili widziałem, że do poszkodowanego przybył lekarz z pogotowia ratunkowego więc byłem spokojny, że będzie się opiekował, udałem się do pociągu i po chwili po ponownym podaniu sygnału gotów pociąg ruszył.”

*

Cybulski kręcił we Wrocławiu film „Morderca zostawia ślad” w reżyserii Aleksandra Ścibor-Rylskiego. Dzień przed wypadkiem przyjechał do niego znajomy Alfred Andrys, znali się od dawna. Andrys był inżynierem odlewnictwa i stażystą w Katedrze Technologii Form w Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, ale od zawsze łączył do świata aktorskiego. 9 stycznia 1967 r. przesłuchiwany przez podporucznika Tadeusza Zielińskiego z Komisariatu Kolejowego MO zeznał m.in.: „Przyjazd mój do Wrocławia miał charakter spotkania towarzyskiego ze Zbigniewem Cybulskim. Do Wrocławia przyjechałem w dniu 6 stycznia 1967 r. pociągiem pospiesznym relacji Kraków-Berlin około godziny 21.20... [Portier] oświadczył mi, że Zbigniew Cybulski czeka na mnie u pana Stanisława Lenartowicza.”.(cdn)

TERESA MASŁOWSKA

Gorzelnia w Przysiece Starej



Gorzelnia w Przysiece Starej.
Fot. ze strony internetowej
miasta i gminy Śmigiel

Majątek w Przysiece Starej do 1797 roku stanowił własność klasztoru cystersów w Przemęcie. Ostatnimi właścicielami byli hr. Zygmunt Kurnatowski od 1882 r., a od 1936 r. do wybuchu II wojny światowej Adam Kurnatowski. W latach 80. XIX wieku powstała tam gorzelnia, która była jedną z licznych w sieci tego rodzaju wytwórni w Wielkopolsce. Po 1875 r. cukrownictwo i gorzelnictwo odgrywało w Wielkopolsce największą rolę w przemyśle spożywczym w skali całej Rzeszy, gdyż pod koniec XIX w. wynosiło ono od 14,1 do 20 procent tej produkcji. Zdecydowana większość gorzelnii znajdowała się w rękach ziemian, gdyż byli oni właścicielami 99 procent gorzelnii. W powstałej w Przysiece Starej gorzelnii mieściły się aparatownia, drożdżownia, fermentownia, a także mieszkanie i biuro gorzelnianego. W osobnym budynku znajdowała się płatkarnia oraz parniki.

Podstawowymi surowcami, z których wytwarzano spirytus były ziemniaki oraz żyto. Dochody z produkcji spirytusu musiały być duże, gdyż gorzelnia funkcjonowała także nieprzerwanie w II Rzeczypospolitej. Z zachowanych dokumentów Gorzelnii Rolniczej w Przysiece Starej, a także dyrekcji Państwowego Monopoli Spirytusowego w Warszawie wynika, że produkcja spirytusu była nie tylko stabilna, ale w 1939 r. zakładano jej znaczny wzrost.

W sezonie 1937/38 planowano produkcję 70000 litrów spirytusu na rzecz Zrzeszenia Producentów Spirytusu w Warszawie, której członkiem była gorzelnia w Przysiece Starej, a której pełnomocnikiem był wówczas Stefan Twardowski.

Za dostarczenie spirytusu o mocy od 90 do 92 procent przewidywano cenę 34 ¼ gr za 1 litr, a za spirytus o mocy powyżej 92 procent 35 groszy za litr. W sezonie 1938/39 przydzielono gorzelnii do produkcji kontyngent 90000 litrów. W 1939 r. zobowiązano się wyprodukować 30000 litrów spirytusu żytniego w dwóch równych dostawach t.j. 1500 do 25 października 1939 r. i następne 15000 litrów do 15 listopada 1939 r. W przypadku niewywiązania się z umowy przewidziano karę 30 gr za litr niedostarczonego produktu. W sierpniu 1939 r. gorzelnia zobowiązała się dostarczyć 50000 litrów spirytusu ziemniaczanego do 31 stycznia 1940 r. i kolejne 50000 litrów do 15 maja 1940 r. Ustalono cenę 41 gr za litr spirytusu ziemniaczanego i 55 gr za litr spirytusu żytniego.

Warto dodać, że w 1939 r. gorzelnia zobowiązała się dostarczyć 1700 litrów spirytusu na rzecz Pożyczki Obrony Przeciwlotniczej. Wartość tego spirytusu wyniosła 680 zł. W omawianym okresie producenci spirytusu korzystali ze znacznej ulgi wynoszącej 40 procent przy zakupie węgla przeznaczonego na cele produkcyjne. Gorzelnia mogła nabyć po zniżonych cenach 1,5 kg miazgu lub 2 kg węgla w przeliczeniu na 1 litr wyprodukowanego spirytusu. Wyprodukowany spirytus gorzelnia była zobowiązana dostarczyć do składów Państwowego Monopoli Spirytusowego we własnych naczyniach t.j. w beczkach lub cysternach dostarczanych koleją lub samochodami. W 1938 r. umowę podpisał Adam Kurnatowski. Jako ciekawostkę można podać, że na czele Zrzeszenia Producentów Spirytusu stał Mieczysław Chłapowski. W kampanii 1938/39 r. Zrzeszenie przewidywało w skali całej Polski produkcję 100 mln l. spirytusu.

Na marginesie tych spraw warto zauważyć, że już wcześniej zdawano sobie sprawę z zagrożeń, jakie niesie spożywanie alkoholu i dlatego już w 1840 r. powstało w Wielkim Księstwie Poznańskim Towarzystwo ku Przytłumieniu Używania Wódki z siedzibą w Kórniku. Wkrótce powołano Bractwo Wstrzemięzliwości, którego działalność starał się później ożywić ks. abp Mieczysław Ledóchowski oraz były wikary w Wielichowie ks. abp Florian Stablewski. W 1890 roku powstało w Poznaniu kolejne Bractwo Wstrzemięzliwości „Jutrzenka”.

JAN PAWICKI